

BIESIADA LITERACKA



WARSZAWA, 15 MARCA 1925 R.

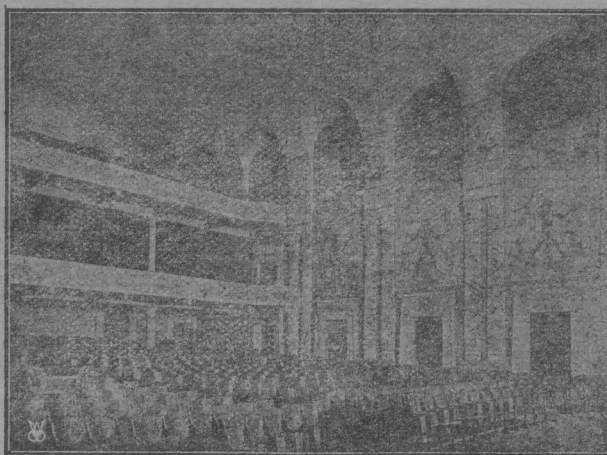
CENA NUMERU 1 ZŁOTY

Kinoteatr

SPLENDID

GALERJA
LUXENBURGA

ul. SENATORSKA 29



Kinoteatr

SPLENDID

GALERJA
LUXENBURGA

ul. SENATORSKA 29

Każdy musi zobaczyć i każdy musi się przekonać, że nowootworzony kinoteatr **SPLENDID**, jest najtańszym, najwspanialszym, największym kinoteatrem stolicy. Dyrekcja kina troszcząc się o dobór programu, zaznacza, że niezaniecha niczego aby pobyt w kinie był najprzyjemniejszą i najtańszą rozrywką. W tym też celu demonstrować będzie obrazy największych wytwórni zagranicznych, które ilustrowane będą muzyką pod dyr. p. A. Furmańskiego.



„Łódzkie Echo Wieczorne“

Największe, najpoczytniejsze i docierające do wszystkich miejscowości Rzeczypospolitej pismo popołudniowe.

„Łódzkie Echo Wieczorne“

jest zarazem pismem najtańszym w Łodzi.

Wychodzić będzie we wszystkie niedziele rano pod tytułem: „Łódzkie Echo Niedzielne“ wraz z bogato ilustrowanym dodatkiem.

Kupujcie i prenumerujcie „Łódzkie Echo Wieczorne“.

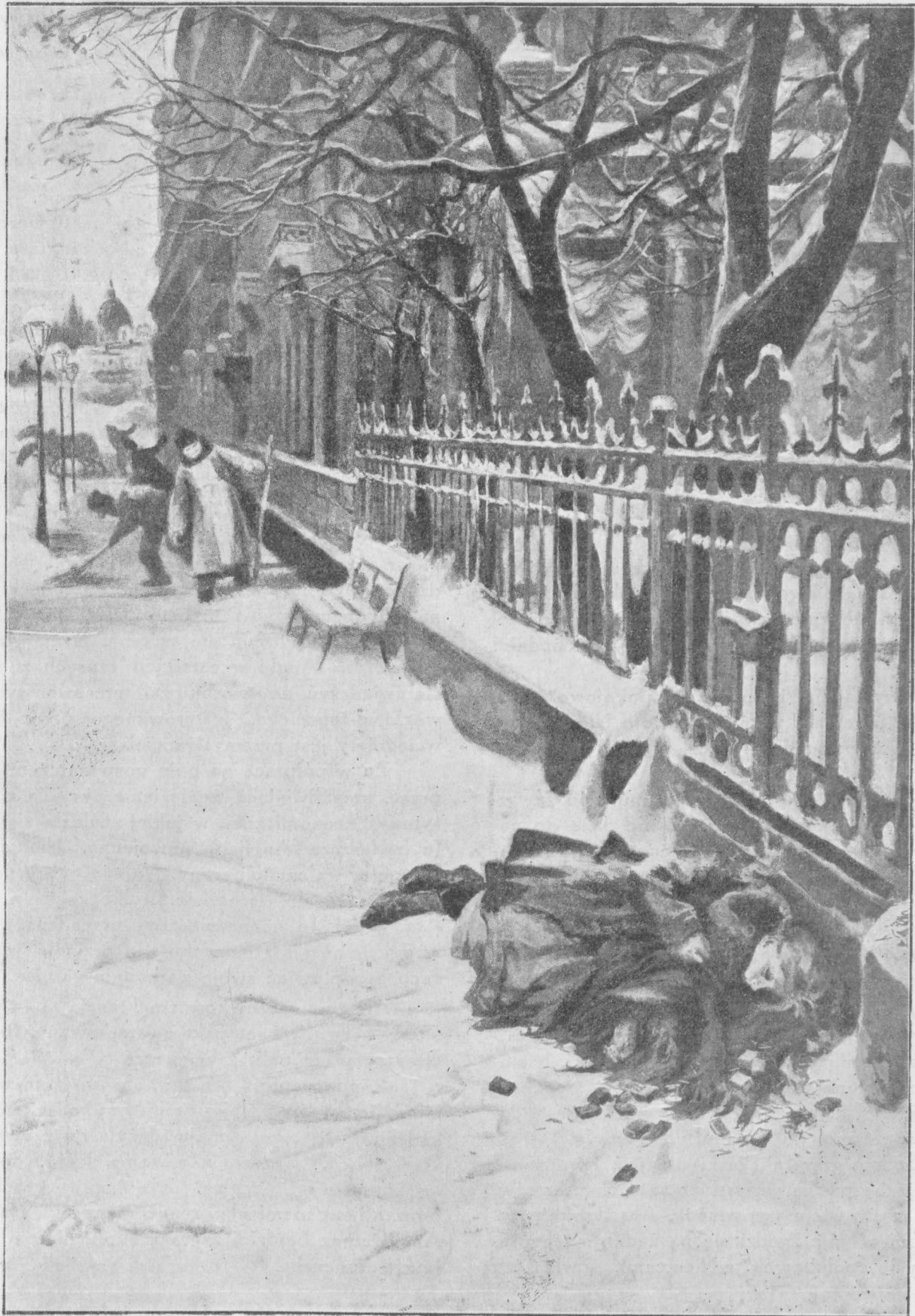
BIESIADA LITERACKA

Warszawa

15 marca 1925

Rok II № 8 (17)

Wkup. P 5096



DZIEWCZYŃKA z ZAPAŁKAMI

A. KAMIŃSKI

GDZIE LEŻY BEZPIECZEŃSTWO FRANCJI?

...Klucz do zabezpieczenia Francji leży nietylko nad Renem. Trzeba go szukać na całym świecie. Przedewszystkiem nad *Baltykiem* i nad morzem Egejskim, a więc przedewszystkiem trzeba dobrze i silnie zorganizować *Polskę*...

André Chéradame

Na wielkiej arenie świata politycznego rozgrywają się wypadki doniosłego znaczenia. Dotyczą one bezpośrednio Polski, godzą w Polski interesy najżywotniejsze: w jej całość! Traktat wersalski zaczyna pękać. Angielscy mężowie stanu zbyt wczesnie zaczęli o wersalskim traktacie pokoju wyrażać się z pełnym lekceważeniem. A teraz — traktat ten „nie wystarcza”. Ba, Anglikom nie wystarcza już protokół genewski, podpisany przed paru miesiącami. Gabinet Baldwina doszedł do wniosku, że w protokole genewskim dziewięć artykułów na szesnaście jest nie do przyjęcia, pozostałe zaś siedem muszą ulec całkowitej lub częściowej modyfikacji. Stąd idzie prosta droga do nowych oświadczeń. Tym razem propozycja wychodzi od Niemców. Oto dla zabezpieczenia pokoju w Europie potrzebny jest pakt gwarancyjny, któryby zagwarantował zachodnie granice... Niemiec!

Ale, jak słusznie powiedział minister Skrzyński, byłby to pakt gwarantujący nie pokój, lecz wojnę. Pakt ów zabezpieczałby granice zachodnie Niemiec, ale zgoła nie gwarantuje granicy zachodniej Polski!

Tak wyglądają propozycje „pokoju” Niemiec, które przegrały wojnę. Tak oto Niemcy wypełniają zobowiązania, płynące z traktatu wersalskiego.

Stanowisko, jakie Niemcy zajmują od zawarcia pokoju, wyraźnie świadczy, że nie dążą do pokoju. Droga Niemiec idzie w stronę wojny. Niemcy nie są rozbrojone, co więcej, są uzbrojone. I te zbrojenia trwają dalej. Fabryki niemieckie produkują broń. Ludność posiada karabiny. Ćwiczy się wojskowo ludność cywilna. Laboratoria niemieckie pracują nad nowymi, doskonalszymi środkami trującymi.

Nowa wojna będzie bowiem przedewszystkiem wojną chemiczną, zatrutowaniem ludności. Niemcy są usposobione wojowniczo. Zamiar niemiecki wyłączenia Polski z paktu gwarancyjnego jest dążeniem do zatargu, do odwetu, do wojny.

Zachodnia granica Polski nie jest sprawiedliwa. Nie zabezpiecza wszystkich naszych interesów. Krzywdzi nas w wielu wypadkach. Ale Polska przyjęła tę granicę i nie zgodzi się na żadną w tej sprawie dyskusję „polubowną” z Niemcami. Zwłaszcza

z Niemcami, które zapewniłyby sobie swoją granicę z Francją a dążą do wojny z Polską, Propozycja niemiecka nie jest pacyfikacyjna, owszem, dąży wyraźnie do wojny.

Gra Niemiec godzi też we Francję. Urzeczywistnienie niemieckiego projektu paktu bezpieczeństwa bez zagwarantowania Polski, zagraża bezpieczeństwu Francji. Polska jest *geopolityczną* sojuszniczką Francji.

Kapitał francuski dąży do połączenia się z kapitałem niemieckim. Francji potrzebny jest węgiel niemiecki. A zaś Niemcom ruda francuska. Przemysł węglowo-żelazny francusko-niemiecki chce mieć wspólną podstawę operacyjną. Żelazny przemysł francuski od pewnego czasu dążył do porozumienia z węglowym przemysłem niemieckim. W październiku ubiegłego roku zjawily się wiadomości o mającym jakoby powstać syndykacie węglowo-żelaznym francusko-niemieckim. To współdziałanie kapitałów francuskiego i niemieckiego ma na celu opanowanie rynku europejskiego. Kapitałiści niemieccy z Nadrenji nie są temu przeciwni. A zaś stanowisko Anglii w ostatnich czasach zdawałoby się świadczyć, że w orbitę zainteresowań syndykatu węglowo-żelaznego, inspirowanego przez Niemcy, wciągnięty jest przemysł angielski.

Za współpracę na polu gospodarczym, współpracę, umożliwiającą znalezienie wyjścia z trudnej sytuacji ekonomicznej, w jakiej znalazła się Europa (a zwłaszcza Anglja!!) powojenna, Niemcy chcą mieć ekwiwalent polityczny. *Na razie* chcą poprawić swe granice na wschodzie i tylko kosztem Polski. Ale byłby to niebezpieczny precedens. Niemcy wzmocnione i rozzuchwalone, a przytem uzbrojone, zechcą poprawiać swoje zachodnie granice.

Ale tym razem kosztem Francji. Nie pomoże wtedy Francji nawet pakt gwarantowany. Bo w istocie rzeczy ten pakt zabezpiecza tylko Niemcy.

Anglja popiera Niemcy, ale nie popiera Francji. Niemcy były najgroźniejszym konkurentem angielskim. Dlatego Anglja dążyła do usunięcia tej konkurencji. I prowadziła wojnę dotąd, dopóki ta konkurencja była realna. Ale Anglii potrzebny jest teraz klient niemiecki i rynek niemiecki. Natomiast Anglja coraz bardziej zagraża ekonomiczna konkurencja francuska. W roku zeszłym, jak i w latach

poprzednich, Anglja miała olbrzymie rzesze bezrobotnych, natomiast we Francji był brak rąk do pracy. W przemyśle angielskim stagnacja, przemysł francuski idzie całą parą. Imperjalizm francuski we wszystkich częściach świata wchodzi w drogę imperjalizmowi angielskiemu.

Nic dziwnego, że w Anglji panuje opinja, iż serdeczne porozumienie (l'entente cordiale) francusko-angielskie z 1914 roku należy do przeszłości.

Anglja stanie w obronie Niemiec. Ale czy stanie w obronie Francji, zagrożonej przez Niemcy?

Naruszenie gdziekolwiek przez Niemcy stanu terytorjalnego, jest zagrożeniem państwowych i narodowych interesów francuskich.

Kooperacja kapitału francuskiego z niemieckim w pewnej gałęzi przemysłu leży w interesie przemysłowców francuskich, ale interes kapitału niemieckiego ma na oku cele Rzeszy. Deutschland ueber alles. To marzenie nie umarło. Nawet socjalist niemiecki Breitscheid urządzał odczyty w Genewie podczas zeszłorocznej sesji Ligi Narodów i dowodził, że Niemcy muszą poprawić swoje granice na wschodzie. To była przygrywka. A teraz mamy oficjalne propozycje niemieckie zabezpieczenia swej granicy na zachodzie oraz „polubownego“ z Polską załatwienia granic na wschodzie. Ale to też jest preludjum. Niemcom śni się Sedan.

Niemcy przegrały wojnę. Ale nie wypełniają traktatu pokoju.

Teraz zwracają oczy na Wschód, w stronę Polski, naturalnej sojuszniczki Francji.

Ale co będzie, kiedy sięgną po Alzację i Lotaryngję? Kiedy skierują oczy na Paryż?

Czy nie będzie wtedy zapóźno?

w.

TĘSKNOTA

PAMIĘCI OJCA

*Wśród nocy czarnej, smętnej, tak wołam do
[Pana;*

*Cóż ja ci jestem winna, o wielki Ty Boże?
Bólu mego strasznego nic zgoić nie może,
Każda praca gorzkiemi memi łzami zлана.*

*Mysł każda przed ludzkiemi oczami skry-
[wana,*

*I samotności brzemię – ciężkie mi nad miarę,
Znoszę jako sierocą i bezwinną karę.*

Pół umarła ma dusza w pęty jest skowana.

*Straszne szpony tęsknoty wpiły mi się w ciało
I szarpiąc serce krwawią boleścią nieznaną.
I jakgdyby nieszczęścia było jeszcze mało*

*Przychodzisz, duchu drogi z twarzą uko-
[chaną,*

*Ukazujesz się we śnie... to tak krótko trwało...
Unosząc razem z sobą mą duszę znekaną.*

Zofja Wolertowa.

*Gwoli korzyści i wygody własnej chciałaby każda
istota żywa świat ten urządzić: wytępić swoich wrogów,
albo nawet i nie wrogów, lecz współzawodników, a na-
stępnie swobodnie panować.*

Adolf Dygasiński
(Niezdara)



POCIĄG PRZESZEDŁ

J. FAŁAT

J A K B Y C M O G Ł O

NIEURZECZYWISTNIONA OPOWIEŚĆ LOTNICZA

Zegar cyknął głośnie i wybił jedenastą. Na dźwięk ten Żarska odwróciła się nagle od okna. Wisząca nad stołem lampa elektryczna oświetliła twarz jej tak bladą, że przy bladości tej i aureoli włosów jasnych oczy wydawały się prawie czarne i niezwykle rozszerzone.

— Zdzisiu — szepnęła błagalnie — i ty naprawdę chcesz przy takiej niepogodzie puścić się po raz pierwszy helikopterem w przestwór?

Żarski uśmiechnął się wesoło, jakby zadowolony z przerwania tej ciszy ciężkiej i odsunął, powstając, krzesło od stołu. Ruch ten zbudził śpiącą dotychczas na otomanie foksterjerkę, Mitkę. Podniosła się, nastawiła uszu i przechyliwszy łepiek spojrzała pytająco na pana.

— Oczywiście — odparł Żarski żonie. — Wszak wiesz, że właśnie na taką noc oczekiwałem. „Polonji“ mojej pewny jestem zupełnie, a lepiej przecież, że przygotuję się do niekorzystnych warunków atmosfery, niż gdybym miał spotkać się z niem, niespodziewanie w górnych sferach przestworu... To tak proste — dodał ujmując rękę żony — że nie rozumiem, dlaczego moja pani, dotychczas tak odważna i wytrwała, straciła odrazu odwagę.

Żarska uśmiechnęła się przez łzy prawie.

— W takim razie — rzekła szybko, przytulając się do męża — weź mnie z sobą, mój Żdzisiu, mój jedyny.

— Nie — odparł stanowczo. — Przedewszystkiem nie chcę przy pierwszej próbie obciążać za nadto statku: następnie muszę zapoznać się dokładnie z kaprysami jego podczas lotu i nabyć pewności siebie, zanim powierzę „Polonji“ mój skarb jedyny: wreszcie, gdybym — tu poprawił się szybko — gdyby się próba nie powiodła, któż dopilnuje, aby plany moje i obliczenia nie dostały się w ręce niepożądane?

— Więc przewidujesz, że może się nie powieść? Boże, Boże, gdybym ciebie, Zdzisiu, stracić miała.

— Nie bądź dzieckiem, Marychno. W takich razach wszystko przewidzieć trzeba. Cóż wart człowiek, który wmawia w siebie nieprawdę dla uniknięcia prawdy? A zresztą, powtarzam, sam będę spokojny, z tobą zaś mógłbym w chwili krytycznej stracić przytomność umysłu. Co wolisz, kochanie?

Ucałował ją serdecznie i spojrzawszy na zegar, zawołał:

— Już czas. Bierz płaszcz i chodźmy.

Mitka, nasłuchująca rozmowy uważnie, spostrzegła ruch ku drzwiom, zeskoczyła więc z otomany, otrząsnęła się ze snu i stawiając lekko suche, muskularne łapki, podreptała ku wyjściu.

W tej chwili otworzyły się drzwi boczne, wiodące przez korytarz do kuchni i stanęła w nich służąca z tacą w ręce.

— Można sprzątnąć, proszę pani?

— A jakże — odparła Żarska — niech Józefa sprzątnie i idzie spać.

Żarskiego zakłopotano to wejście służącej, gdyż był pewien, że wszyscy w domu, oprócz dozoruującego maszyny wiernego stróża, śpią już, przystanął więc na chwilę, a Józefa, zbierając na tacę szklanki, mówiła, jakby do siebie, czując widocznie potrzebę zdania sprawy z przejść dnia ubiegłego:

— Był tu dziś jakiś wyglądający na żyda i chciał się widzieć z panem. Powieda: jestem od elektryki



TANCERKA LONDYŃSKA ILONA KAROLEWA



MADONNA W KORONIE A. DURER

i mam sprawdzić preparat, ale Jan wyrzucił go za bramę, bo, powie: może to śpieg...

— Ot, gadanie — przerwał Żarski służącej, akcentując słowa lekceważącym ruchem ręki — mają oni gdzieindziej dosyć do roboty.

— A mało to, proszę pana, gazety pisały o śpiegach prusaków. Zdawałoby się, że taki trzech zliczyć nie potrafi, a śpieguje.

Wygłosiwszy tę sentencję, Józefa urażona wyszła z tacą do kuchni.

— Zanadto lekceważysz, Zdzisiu, — odezwała się Żarska — słowa Józefy. Prawda, mieszkamy na ustroniu, nikogo nie przyjmujemy, o helikopterze twoim bodaj, czy ktoś wie, prócz Jana, a jednak wciąż się obawiam o ciebie, wciąż zdaje mi się, że nie sposób, aby praca twoja pozostała w ukryciu.

— Jesteś zbyt wrażliwa i przeczulona, jak każda dziś kobieta — zawołał Żarski niecierpliwie. — Gdyby było tak, jak mówisz, tobym miał tu przedewszystkiem już dawno wizytę komisarza policji. Zresztą, niema o czem mówić. Chodźmy.

Po chwili oboje, odziani w płaszcze gumowe, znaleźli się na podwórzu.

Noc panowała tak ciemna, że narazie zatrzymali się u progu drzwi, aby przyzwyczaić wzrok do ciemności. Drobnym deszczykiem zwilżał im twarze, a chwilami uderzający wiatr szeleścił gumą płaszczyków i przynosił zapach jaśminów z ogródka, urządzonego na środku podwórza. W głębi zarysowywały się niewyraźnie kontury szopy, w której Żarski miał pracownię. Ku niej skierowali kroki.

W pracowni czuwał przy helikopterze stróż Jan.

Chłop mazowiecki, twardy i prosty, wesoły, gdy miał trochę w czubie, zajadły do pracy, gdy było potrzeba, nie byłby mazurem, gdyby nie kłął siarczyście i nie czuł również siarczystej nienawiści do prusaków. Przed laty trzydziestu przywędrował do miasta i uzyskawszy posadę stróża w domu jeszcze ojca Żarskiego, pozostał na niej odtąd. Tu się ożenił i stracił żonę, tu wychował i wyprawił na wieś dwoje dzieci, tu rządził i był prawie panem, posiadając zupełne zaufanie naszego inżyniera, którego jeszcze na rękę nosił, oraz jego małżonki. Tylko on jeden pomagał Żarskiemu w uciążliwej pracy fizycznej przy montowaniu helikoptera, on jeden wiedział o celach wynalazku. Za ufność tą odpłacał Żarskiemu wiernością prawdziwego dziecka



Św. JERZY NA KONIU A. DURER



RYBACY BRETOŃSCY

ludu i strzegł zazdrośnie tajemnic szopy przed nieproszonymi oczyma. Dziś właśnie wyprawił brutalnie za bramę tego „jakiegoś, wyglądającego na żyda“, o którym wspomniała Żarskim Józefa. „Hycel jeden, powie, że od elektryki i pakuje się na podwórko. A ja go za kark i paszoł won. Na ulicy zaczął coś mamrotać, ale jakem wziął za miotłę, to uszedł“.

Przy mdłym świetle latarki Jana, w szopie zarysował się fantastycznie kadłub „Polonji“, zwróconej dziobem ku [wrotom. Wielkie śmigła poziome odbijały się cieniem na pułapie, jak dwa ogromne, czarne motyle. W szklach reflektorów, szybach umieszczonych w zasłonie przedniej, tudzież w szklanych ścianach kajuty migotał płomyk, przesuwiającej się dokoła latarni.

— No, cóż ojcie — rzekł Żarski — wszystko w porządku?

— Jak się patrzy, proszę pana, ino czas nie najlepszy.

— Właśnie o to chodzi. Teraz noce krótkie i jasne. Takiej było potrzeba.

Przy słowach tych, Żarski wspiął się po dwu stopniach glinowych na bok helikoptera, otworzył drzwiczki kajuty i nacisnął guzik. Błysnęła lampka elektryczna, oświetlając wygodne, głębokie siedzenie samochodowe wybite skórą, a przed nim lewary i guziki elektryczne, tarcze liczników szybkości, wysokości, zużytego prądu i woltometr. Pod nimi urządzone widniały pulpity dla map i planów, oraz szkła periskopu którego tuba zniknęła w podłodze. Z boku, na półce, zaopatrzonej w okrągłe wydrążenia, stało kilka termosów.

Żarski przejrzał wszystko uważnie, dotknął lewarów, sprawdził liczniki.

— Widzisz, Marychno, jak tu wszystko jest obmyślane — rzekł do żony, ustępując jej miejsca i podając rękę, aby zajrzała do środka.

— Nawet są termosy na gorącą herbatę, kawę i wodę — dodał z uśmiechem — dla mojej pani, gdyby zechciała kiedy odbyć ze mną podróż powietrzną,

Nie przypuszczał, jak był bliski prawdy w tych słowach.

Żarskiej ścisnęło się zeschłe ze wzruszenia gardło.

— Żdzisiu — szepnęła, schodząc ze stopni helikoptera, oparta na ramieniu męża — weź mnie, weź mnie z sobą.

Staremu Janowi, który dosłyszał te słowa, zmarszczyła się twarz i stanęły sztorcem, jak igły, siwe, przystrzyżone wąsy.

— Co też paniusia gada — zaprotestował. — Na taki czas, gdy chodzi o wypróbowanie takiej wielkiej maszyny i to gdzieś nad domami. Pan sam, to sobie poradzi, a z paniusią miałby ino kłopot.

— Widzisz — zaśmiał się Żarski — Jan prawdę powiedział: miałbym ino kłopot. Bądź więc rozsądna i nie nalegaj, dziecko. No, ale czas mija, a my tu gadamy.

(D. c. n.)



MIŁOŚĆ W POLU

A. BROUILLET

OGRÓD BOTANICZNY W WARSZAWIE

Ogród botaniczny w Warszawie posiada w historii nauki polskiej pełną zasług kartę, na której czasy niewoli rosyjskiej wybitne pozostawiły ślady.

Założony w obecnym miejscu w r. 1818, oddany pod kierownictwo prawdziwego fanatyka botaniki, prof. Michała Szuberta, który dopiero co powróciwszy ze studjów z Paryża, zajął się przedewszystkiem wpr. wadzaniem w czyn najnowszych

mocy dobrał sobie Hipolita Cybulskiego, znakomitego ogrodnika, fanatycznego miłośnika roślin, który też, mimo przejścia ogrodu w r. 1878 pod zarząd rosjanina, prof. Fischera von Waldheima, wszystkie wysiłki czynił, ażeby utrzymać go na możebnie najwyższym poziomie naukowym.

Nowy dyrektor rozpoczął pracę rusyfikacyjną od nazw rosyjskich na tabliczkach, a ogród stał się głównym dostawcą kwiatów i dekoracji na wszelkie uroczystości urzędowe. Dział naukowy zaniedbywano stopniowo, aż wreszcie po ustąpieniu Cybulskiego w r. 1893, zwłaszcza w ostatnich latach przed wojną, zapuszczono go zupełnie.

Mimo to ogród był zawsze drogi sercu warszawian, zarówno ze względu na mieszczące się w nim ruiny kaplicy Opatrzności, będące miejscem wielu manifestacji politycznych, jak i na cel swój. Odzywały się też liczne głosy prasy w obronie jego.

Aż wreszcie ustąpili rosjańscy, i natychmiast ogród Botaniczny przeszedł pod zarząd uczonych polskich, którzy, powierzwszy dyrekcję prof. Zygmuntowi Wóycickiemu, energicznie zabrali się do doprowadzenia go do porządku. Zrobiono wiele, mimo nader szczupłych środków. Doprowadzono do porządku teren, podtrzymano walące się szklarnie, wystawiono pomniki twórcy ogrodu Michałowi Szubertowi i autorowi „Flory Polskiej” Jakóbowi Wadze.

Nowy okres w życiu ogrodu Botanicznego rozpoczął się z chwilą objęcia tegoż przez nowego dyrektora, prof. Bolesława Hryniewieckiego w r. 1920.



Pomnik Jakóba Wagi w Ogrodzie Botanicznym

zdobyczy wiedzy. Pod jego kierownictwem, mimo nader szczupłych środków pieniężnych, ogród rósł, rozwijał się, dorównywując wielu ogrodom zagranicznym. Zajmował on wtedy przestrzeń znaczną, gdyż na mocy darowizny cara Aleksandra I, oprócz obecnej powierzchni, obejmował i górną część Łazienek, oraz ogród owocowy przy Alejach Ujazdowskich, sięgając aż do Belwederu.

Ten świetny okres ogrodu Botanicznego trwał do rewolucji listopadowej, poczem, gdy zamknięto uniwersytet warszawski, obcięto znacznie sumy na jego utrzymanie, w r. 1834 odebrano znaczną część terenu, włączając w obecne, nader szczupłe ramy, a gdy w roku 1846 ustąpił prof. Szubert ze swego stanowiska, ogród pod niedbałym kierownictwem coraz bardziej chylić się zaczął ku upadkowi, przybierając coraz więcej charakter ogrodu spacerowego.

Reformy przed powstaniem styczniowym obudziły na czas pewien z uspienia ogród Botaniczny. Zajął się nim specjalna komisja pod przewodnictwem Tytusa Chałubińskiego, zarząd ogrodu powierzono Jerzemu Aleksandrowiczowi, który do po-



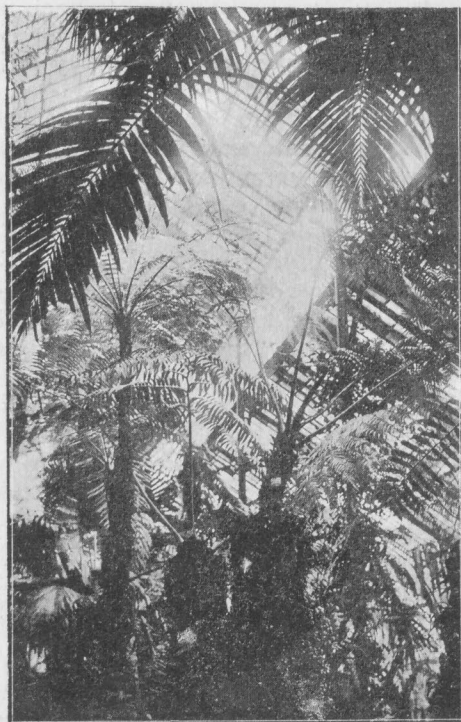
Strelitzia Reginae w palmiarni Ogrodu Botanicznego

Z zapałem zabrał się on do porządkowania tegoż i zastawszy zupełne pustki, stworzył do chwili obecnej rzecz, którą poszczycić się możemy.

Przedewszystkiem, w miarę opróżniania lokali i odpowiedniej przebudowy, skoncentrował w jednym miejscu wszystkie działy, odnoszące się do systematyki roślin.

Stworzył olbrzymi zielnik roślin krajowych i obcych, przez złączenie w jedną całość i uporządkowanie zielników: 1) Muzeum Przemysłu i Rolnictwa, 2) Tow. Ogrodniczego, mieszczącego zbiory dr. Chałubińskiego, Łapczyńskiego, Berdta, Filipowicza i innych, 3) Tow. Farmaceutycznego, 4) Błońskiego i innych.

Stworzył wielką bibliotekę botaniczną, do której za podstawę służył księgozbiór Błońskiego, a przy



Grupa paproci drzewiastych w palmiarni Ogrodu Botanicznego

której koncentruje się biblioteka Tow. Botanicznego. Nawiązał kontakt wymienny ze 100 z górnymi instytucjami zagranicznymi.

Szklarnie, które były w ruinie, doprowadzone zostały do porządku, a częściowo przebudowane według najnowszych wymagań nauki.

Rośliny w ogrodzie doprowadzone do porządku, ugrupowane i usystematyzowane, przyczem nacisk wielki położono na stworzenie grup biologicznych, jak wydmy utrwalone i ruchome, wrzosiowiska, skały wapienne, torfowiska, kaktusowe i inne. Ułatwiają one znakomicie naukę poglądową zarówno dla studentów, jak i dla szkół.

W roku bieżącym przybędą rośliny tatrzańskie oraz wspaniałe gatunki róż sztamowych.

Szklarnie przepełnione są wspaniałymi okazami roślin podzwrotnikowych, budzącymi zachwyty



Szklarnia z kaktusami i sagowcami

w zwiedzających, a nie brak wśród nich okazów nader rzadkich.

Wszystko to, mimo nader szczupłych środków, osiągnięto przy pomocy nałożenia drobnej opłaty na zwiedzających ogród, co jednak w sumie dało



Dzbanecznik i storczyki w palmiarni

kilka tysięcy złotych, drogą wymiany dubletów oraz zasiłku z wydziału nauki Min. W. R. i O. P.

Lecz ogrodowi Botanicznemu jest obecnie za ciasno na szczupłym terenie, niema się gdzie rozrastać i rozwijać, nieodpowiada on poprostu wymaganiom naukowym i reprezentacyjnym. Pomysłano też już o tem i przeznaczono dla niego 38 hektarów na polach Rakowca, tuż obok plantacji miejskich i mających tam stanąć w przyszłości gmachów uniwersyteckich dla wydziałów przyrodniczych.

Ogród ten będzie już nie uniwersyteckim, a państwowym, a przy nim stanie muzeum botaniczne, gromadzące najciekawsze okazy. Uniwersytet posiadać tam będzie działki badawcze.

Na urzeczywistnienie tych zamiarów potrzeba wiele lat czasu i znacznych sum pieniężnych, musi je dać rząd, musi dać i społeczeństwo, gdyż znaczenie ogrodu botanicznego, z którego korzystają zarówno pracownicy naukowci, jak nauczyciele i młodzież szkolna, jest olbrzymie.

Nawet publiczność przeciętna, przybywająca do ogrodu dla odpoczynku, oglądając ujęte w system naukowy działki, zaznajamia się z roślinnością ziem polskich, poznaje je i uczy się je kochać...

Z groszowych ofiar tej publiczności winien stanąć wielki ogród botaniczny, godzien stolicy Polski.

Edmund Jeziński.

KRZYSZTOF ARCISZEWSKI

zdobywca Brazylii, admirał holenderski, starszy nad armatą Koronną

III.

Szalony, młodzieńczy, a zbrodniczy krok, który przelaną krwią Brzeźnickiego zbroczył rycerską dłoń Krzysztofa Arciszewskiego, poważnie zaciężył na jego losach. Zawziętość przeciwko palestrantowi nie ucichła w nim nawet po spełnionej zbrodni, czemu wyraz dał w liście do rodziców, pisanym z Warszawy, dokąd się schronił po ucieczce z Nie-taskowa, przedzierając się do Birz, na dwór swego protektora, ks. Krzysztofa Radziwiłła, licząc, że pod tegoż przemożną opieką nie dosięgnie go ramię karzącej sprawiedliwości.

Tymczasem sprawa sądowa toczyła się dalej. Na skutek zabiegów wdowy po Brzeźnickim wystosowano pozwy do sprawy gardłowej przeciwko Eljaszowi Arciszewskiemu i trzem jego synom, Krzysztofowi, Eljaszowi i Bogusławowi, oraz kilku ze szlachty, biorącym czynny udział w zbrodni.

Do sprawy stawił się jedynie stary Eljasz Arciszewski, którego trybunał lubelski uznał za niewinnego, po uprzednim przez tegoż złożeniu przysięgi, że do zabójstwa Brzeźnickiego żadnem słowem zachęty się nie przyczynił i żadnego udziału w spełnieniu zbrodni nie przyjmował...

Pozostałych pozwanych trybunał lubelski skazał na infamię i banicję z granic Rzeczypospolitej, nakazując jednocześnie starostom schwytywanie ich i skonfiskowanie majątków. Następnie Bogusława Arciszewskiego, na skutek złożonej przysięgi, że w zabójstwie Brzeźnickiego udziału nie brał, od kary uwolniono.

A tymczasem Krzysztof i Eljasz Arciszewscy znaleźli schronienie na dworze birzańskim, gdzie ks. Krzysztof Radziwiłł szczerze się nimi zaopiekował. Lecz nie chcąc ubliżać obowiązującym prawom Rzeczypospolitej, na wieść o wyroku banicji, wyprawił obydwóch do Gdańska, a następnie do Holandji, by tam w sztuce wojennej się kształcili, a jednocześnie nadsyłali mu szczegółowe sprawozdania z wypadków, rozgrywających się w owym czasie na zachodzie, a w których dom Radziwiłłowski poważnie był zainteresowany.

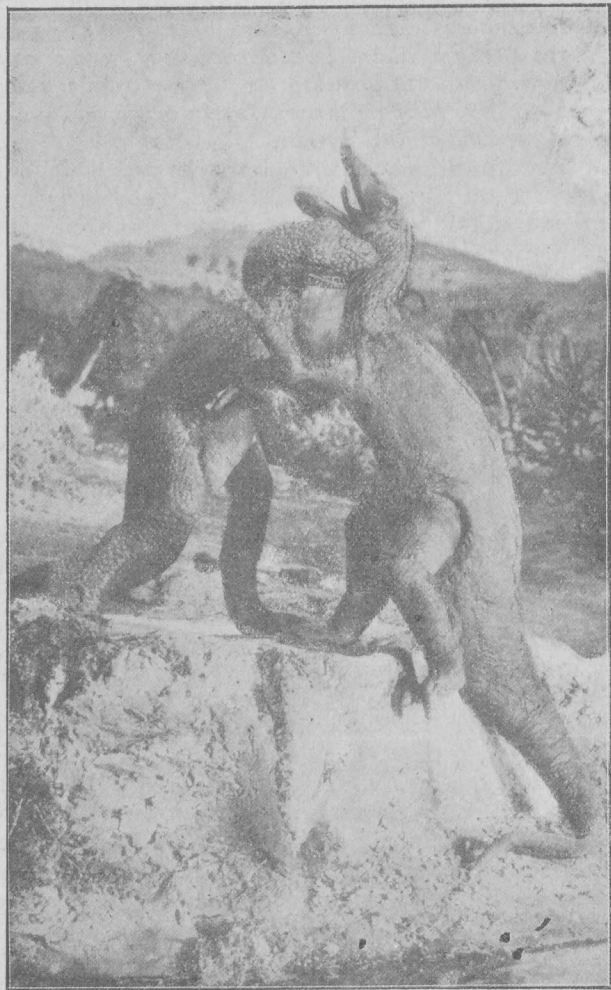
Krzysztof Arciszewski przybył do Holandji akurat w chwili, gdy na skutek dążeń króla hiszpańskiego, Filipa IV, do pozbawienia Holandji wywalczonej z takim trudem niepodległości, miały się rozpocząć krwawe zapasy. Doniósł też wnet o tem ks. Radziwiłłowi w jednym z pierwszych listów swoich.

Na wygnaniu znalazł się Krzysztof Arciszewski w nader trudnych warunkach materialnych. Na pomoc od ojca nie mógł liczyć, gdyż stary Arciszewski rozżalony był na synów, że zamiast zająć się szerzeniem nauki arjańskiej, poświęcili się sztuce wojennej, którą on potępiał.

I z bratem nie łączyły Krzysztofa zbyt serdeczne stosunki, gdyż tenże ciągle czynił mu wymówki, że zamiast zaciągnąć się do służby wojsko-



PORTRET DZIECI



Pojedynek potworów przedhistorycznych.
Zdjęcie dla nowego filmu amerykańskiego

wej u obcych, uczył się ciągle teorii inżynierstwa, fortyfikacji i minierstwa. Wreszcie nastąpił między braćmi układ, którego mocą Krzysztof rzekł się na korzyść brata pomocy od rodziców, sam zaś zdał się na łaskawą pomoc księcia Radziwiłła, czego wyraz dał w jednym ze swoich listów do księcia,

A tymczasem na widowni wojennej rozgrywały się nader ważne wypadki, z których ściśle sprawozdania słał księciu do Birż Krzysztof Arciszewski, przyczem listy jego odznaczają się wielką znajomością sztuki wojennej.

W walkach Holandji o wolność brał czynny udział, zaciągnawszy się, jako ochotnik, do szeregów ks. Maurycego, dążących na odsiecz oblężonej przez hiszpanów Bredy. Interesował się tą wyprawą wielce Arciszewski i w czasie pochodów wojennych szkicował dla księcia Radziwiłła plan oblężenia i odsieczy Bredy, przysyłał mu ciągle sprawozdania z wypadków na terenie wojny, jak również i opis uniwersytetu w Leydzie, do którego ks. Krzysztof Radziwiłł syna na dalszą naukę wysłać zamierzał.

A tymczasem w kraju rodzina jego czyniła zabiegi celem ułagodzenia wdowy po Brzeźnickim i uzyskania cofnięcia dekretu o banicji. Przychyliła się już ona do tego za cenę znacznego okupu pieniężnego, potrzebną była tylko zgoda Krzysztofa Arciszewskiego, lecz tenże, niezadowolony z układów, wyrzekłszy się myśli powrotu do kraju, wołał, by pieniądze te przesłane mu zostały na dalsze kształcenie się w sztuce wojennej, zwłaszcza w artylerji.

Obserwował dalej działania wojenne w Holandji Arciszewski, donosząc o nich szczegółowo księciu, a gdy wreszcie twierdza Breda poddała się hiszpanom, przyczynę porażki holendrów widział w tem, że „ci ludzie najmniejszej odwagi czynić nie chcą i nigdzie nie następują, jeno gdzie oczywista wygrana się jawi“.

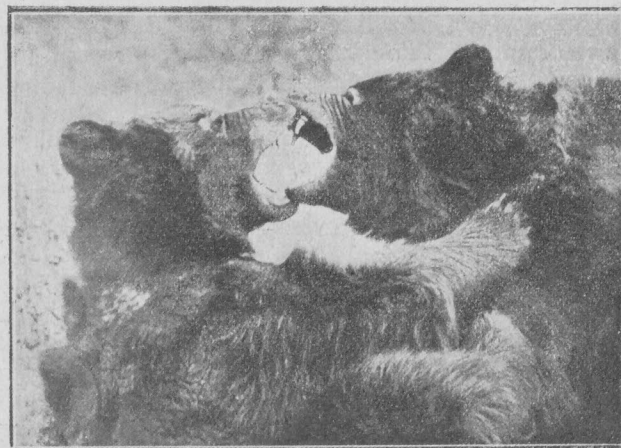
IV.

Załatwienie sprawy o zabójstwo Brzeźnickiego pozwoliło Krzysztofowi Arciszewskiemu na powrót do ojczyzny w końcu r. 1625, lecz bawił tam krótko, gdyż już w styczniu r. 1626, obarczony różnymi zleceniami ks. Radziwiłła, wyruszył przez Gdańsk do francuskiego portu Dieppe, skąd udał się następnie do Paryża i do Sedanu, skąd przysyłał księciu dalsze relacje zarówno o wypadkach politycznych, jak i o wychowankach księcia, kształcących się w Sedanie na jego koszt na teologów kalwińskich.

Tymczasem między królem Zygmuntem III, a ks. Radziwiłłem wynikł zatarg z powodu podejrzenia tegoż o sprzyjanie szwedom, przyczem na Arciszewskiego padł zarzut pośredniczenia w tych negocjacjach, tak, że nawet król Zygmunt III domagał się wydania go.

Zaprzeczał temu energicznie Arciszewski, twierdząc, że „dyskurs każdemu polskiemu szlachcicowi jest wolny“. W obronie jego stanął brat Eljasz, pozostający na służbie u króla duńskiego, a który za gładem przybył do kraju.

A w czasie tym Krzysztof Arciszewski brał udział wraz z flotą holenderską w oblężeniu Roszelli, a gdy miasto to padło, wahał się, co ma dalej czynić z sobą. (D. c. n.)



Walka misiów

ATLANTYDA

Chociaż ocean do dziś został zbadany naukowo i granice jego i głębiny znane są i wymierzone dokładnie—niemniej jednak pozostaje dla człowieka obrazem czegoś zagadkowego i tajemniczego. Nic też nie dostarcza tylu dziwnych i głębokich wrażeń, jak podróż po przestrzeniach wodnych, zajmujących około $\frac{3}{4}$ powierzchni kuli ziemskiej.



Mapa głębín północnej części Atlantyku. — Granicą łądu, który łączył środkową Amerykę z dawnym kontynentem. — Przypuszczalny zarys Atlantydy

Ciągła kontemplacja morza musi budzić w umyśle człowieka cały szereg myśli: o nieznanymi siłach przyrody, które podnoszą fale morskie; o tajemniczej sile przyciągania ciał niebieskich, wywołującej majestatyczne zjawisko przypływu i odpływu — o dziwnych mieszkańcach ciemnych otchłani oceanu. Wszystko to budzi niepokój, lęk nawet, wobec tego bezmiaru oceanu, który zdaje się po to istnieć na ziemi, aby stopniowo przygotować człowieka do pojęcia nieskończoności niebios.

Kiedy dzisiejszy podróżnik na jednym z olbrzymich statków, walczących między sobą o szybkość na szlaku wodnym pomiędzy dwoma kontynentami, przebywa w ciągu paru dni przestrzeń, po której niegdyś wędrowali nasi przodkowie w ciągu długich tygodni; kiedy, płynąc z morza Śródziemnego na Atlantyk, przebywa cieśninę Gibraltarską i patrzy na owe „słupy Herkulesa, które dla ludów starożytnych oznaczały granice znanego świata—w jego wyobraźni niespokojnej a ciekawej musi powstać obraz tego życia zamarłego w tej części globu ziemskiego.

Być może pod błękitnymi wodami śpią ruiny miast zalanych, wzniesionych niegdyś przez cywilizację, która już znikła na zawsze; tam, gdzie dziś szemrzą fale, kiedyś—w epoce bardzo od nas dalekiej wznosiły się góry nad łądami, które zapadły się i znikły w tajemniczej głębi oceanu.

Legenda mówi nam istotnie, że w czasach przedhistorycznych był jakiś łąd poza Europą i Libją, gdzieś daleko po za „słupami Herkulesa“. Legenda? Czy nie należałoby raczej powiedzieć: historia?

Bo opowiedziana po raz pierwszy przez Platona opowieść o tej ziemi bajecznej — Atlantydzie żyła z dawien dawna w pamięci ludów, zamie zkujących wybrzeże morza Śródziemnego. Legenda ta powtarza się w licznych opowieściach ludowych.

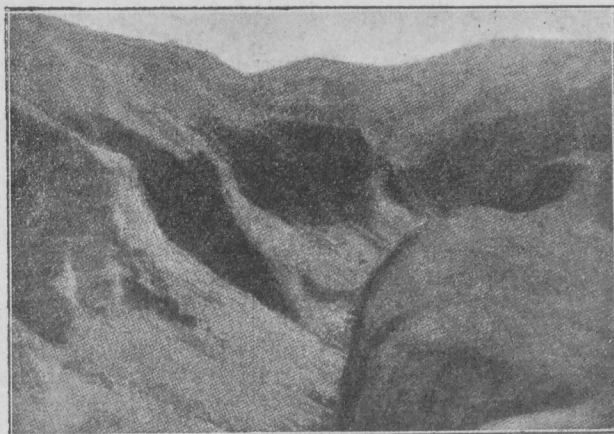
Dziś — po długich dysputach geografów — poezja, teatr, kinematograf czerpią z niej swoje tematy.

Prawda, że Origenes, Porfirjusz, Malte-Brun, Humboldt zaprzeczają istnieniu Atlantydy. Ale natomiast inni uczeni, jak Posidoniusz, Tertuljan, Buffon, Tournefort uważali opowiadanie Platona za prawdziwe. Prace wybitnego geologa Termier, członka Akademii Nauk w Paryżu, postawiły tę sprawę w świetle wiedzy nowoczesnej. W tem stadjum wiedzy istnienie tego łądu staje się prawdopodobnym.

Przypomnijmy sobie przedewszystkiem, że opis Atlantydy, podany przez Platona w dwóch dialogach („Tymon“, albo „O przyrodzie“ i „Kritias“, albo „O Atlantydzie“) zbyt jest drobiazgowy, aby mógł być wytworem wyobraźni. Filozof grecki mówi o wielkiej wyspie, znajdującej się po za cieśniną Gibraltarską, oddzielonej od łądu szeregiem innych mniejszych wysp. Wyspę tę zamieszkiwało plemię wojownicze, rządzone przez potężnych władców. Ci mieszkańcy Atlantydy—plemię liczne i odważne—zawładnęli wybrzeżem morza Śródziemnego. Ateny — pomimo bohaterskiej obrony — byłyby może upadły, gdyby nie jakiś przerażający kataklizm, który pochłonął wyspę Atlantydy i armje walczące, zaskoczony zniemacka zalewem.

Ta opowieść Platona tłumaczoną była w ciągu wieków w sposób rozmaity — nieraz bardzo sprzecznie — przez geografów i historyków, usiłujących oznaczyć ściśle miejsce Atlantydy na powierzchni kuli ziemskiej.

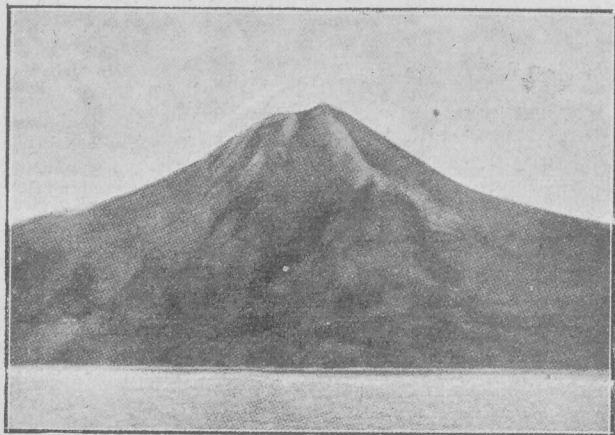
Jedni umieszczali ją w Szwecji, inni w Islandji, inni na Spitzbergu. Niektórzy wyobrażali ją sobie we wschodniej części morza Śródziemnego, inni widzieli ją w Ameryce. Dopiero w r. 1657 uczonego jezuita Kircher wyraził pogląd, że Madera, wyspy



Widok z Madery. Dolina smutna, bezpłodna, t. zw. „Dolina sucha“, która się wyłobila w popiołach wulkanicznych

Azorskie i Kanaryjskie są ostatnimi szczytkami zaginionego ładu. Pogląd ten, rozwinięty w początkach XIX w. przez Bory de Saint Vincent, potwierdzają prace uczonych współczesnych. Zwróćmy się zatem do nauki nowoczesnej, a przedewszystkiem do oceanografji.

Dzięki coraz dokładniejszym metodom sondowania, topografja dna oceanu Atlantyckiego znana



Pico, szczyt wulkaniczny na Azorach, wysokości 2200 metrów

jest równie dokładnie, jak miejscowości, przedstawione na mapach sztabu generalnego.

Wyobraźmy sobie przez chwilę, że z oceanu ustąpiły wody i że mamy przed sobą suche jego łozysko. Oto krajobraz, który przedstawi się naszym oczom:

Jeśliśmy szli tem osuszonym dnem morskiem z Europy do Ameryki, rozpoczynając wędrówkę od cieśniny Gibraltarskiej i kierując się na południowachód, zeszlibyśmy przedewszystkiem w głąb długiej doliny o głębokości 4000 metrów. Następnie wznieslibyśmy się na pochyłość pewnego rodzaju góry, na której szczycie znajduje się Madera. Potem, zwracając się w kierunku północno-zachodnim, zeszlibyśmy do nowej doliny o głębokości 5000 metrów, stamtąd zaś wypadłoby się wspinać na nową górę, stanowiącą podstawę wysp Azorskich. Zwracając się znów na południowachód, zagłębilibyśmy się w dolinę, której głębokość dochodzi do 6000 metrów — po to, by raz jeszcze piąć się po stokach grzbietu, na którym wznoszą się Bermudy. Następnie zeszlibyśmy jeszcze raz do zagłębienia 4000 metrów i wreszcie wznieslibyśmy się do dawnego poziomu morza w najbliższym sąsiedztwie Ameryki.

Widzimy więc, że dno Atlantyku jest bardzo nierówne. Rozpatrując topografję tego dna na mapie, widzimy, że środkowa część Atlantyku wznosi się jako długi i kręty grzbiet górski w kształcie litery S.

Grzbiet ten ciągnie się z południa na północ i ograniczony jest z obu stron przez dwie długie doliny, których głębokość dochodzi do 6000 metrów — a miejscami i więcej — kiedy tymczasem górna część grzbietu dosięga w niektórych punktach wysokości poniżej 1000 metrów od powierzchni morza.

Wzdłuż całego tego grzbietu znajduje się szereg wysp, które są wszystkie pochodzenia wulkanicznego: Tristan d'Acunha, wyspa św. Heleny, Wniebowstąpienia, Madera, wyspy Kanaryjskie, Azorskie, Feroer, Islandja, Jan Mayen. Częste wybuchy podmorskie w tej części Atlantyku odbijają się u wybrzeży francuskich pod postacią potężnych wirów. Grzbiet środkowy oceanu Atlantyckiego jest zatem jedną z najmniej stałych części kuli ziemskiej.

Tam, gdzie są wulkany, muszą oczywiście zdarzać się wypadki zapadania się powierzchni ziemi. Zarówno w dalekiej przeszłości, jak i w ciągu ubiegłego stulecia liczne wyspy bądź zostały pochłonięte przez fale, bądź też wyszły z ich łona: Santorin, wyspa Julia na morzu Śródziemnym są prawie współczesnymi przykładami tego zjawiska.

Podobne wypadki mogą — a nawet muszą się zdarzać na niespokojnem dnie Atlantyku. Mielisśmy tego dowód niedawno, bo w 1898 r. podczas zakładania podmorskiego kabla telegraficznego pomiędzy Brest'em, a przyładkiem Cod w Ameryce. Przy wydobywaniu zerwanych części kabla z głębi 3000 metrów (na północy od wysp Azorskich), wyłowiono cząstki minerału, zwanego tachilitem i cząstki te były w stanie szklistym. Minerał ten może się zestalać w stanie szklistym jedynie pod wpływem ciśnienia atmosferycznego; pod ciśnieniem 300 atmosfer, wytworzonym przez 3000 metrów wody, pod którą się znajdował, powinien byłby się skryształizować. Niewątpliwie tedy utworzył się pod ciśnieniem atmosferycznym, czyli nad powierzchnią oceanu.

Można więc z tego wnioskować, że w tym punkcie morza względnie niedawno został zatopiony jakiś ład. Nadzwyczaj drobiazgowo badania geologiczne, przeprowadzone w Marokko, pozwalają na twierdzenie, że cieśnina Gibraltarska powstała pod koniec okresu trzeciorzędowego. Możemy zatem stwierdzić wraz z profesorem Termier nadzwyczajną ruchomość okolic Atlantyku, zwłaszcza przy zbliżeniu się tego oceanu do morza Śródziemnego. Wiemy z całą pewnością, że zaszły tu wielkie zmiany powierzchni — niektóre z nich w okresie czwartorzędowym. (D. n.)



Krater-jezioro Siete-Ciudades na wyspie San-Miguel (Azory). (Azory są wyspami wulkanicznymi, gdzie zdarzają się względnie często trzęsienia ziemi)

ARS VITAE

JULJUSZ WIRSKI

ROZPACZ

Wasza nędza będzie jeszcze dla rasowego zdro-
bywcy źródłem mocy, orędziem w zwyczajnym bo-
ju. Z tego, co wam starcza na wegetację jeno'
mężczyzna ukuje podstawę przyszłego bogactwa i siły.

Konkretyzować? Dobrze. Trzy grosze oszczęd-
ności dziennie, rzucone w zorganizowany potok, da-
dzą czterem tysiącom ludzi, zjednoczonym w tym,
czy innym związku, po roku, dzwignię w postaci
50,000 złotych—a więc pozwolą na stworzenie war-
sztatu, który będzie rozrastał się i potężniał. Sła-
bości wyzyskiwanej jednostki tak łatwo przeciwsta-
wić moc zorganizowanego odłamu. Prawo białego
człowieka jest prawem duchowej siły. Nią i tylko
nią zawojował świat, ujął w pęta żywioł, wprzął
do swego rydwanu ludy.

Chciecie być białym murzynem? Wasze pra-
wo — lecz wówczas się nie skarżcie, nie urągajcie
losom: zbierajcie żniwo własnej niewolniczej woli.

„Bujność życia“, „szerokie możliwości“, „wiel-
kie horyzonty“ najmilsi współcześni — toż ludzie
i tylko ludzie stwarzają taką „podatną“ atmosfe-
rę. Przygniatająca większość miliardów zaczęła z ni-
czego. Dzisiejsi królowie żelaza czy innej gałęzi
produkcji, byli w młodości roznosicielami gazet.
Umieli, chcieli umieć i umieli chcieć. Więc wy-
grali. Gdyby się skarżyli, pozostałoby skarżącymi
się pucybutami. Jasne: Organizacja—ile się o niej
mówi? — czyż jest, ktoby zaprzeczył jej mocy?
Tylko ilu w niej pracuje, ilu zrzesza się naprawdę?
Odwieczna historia pierwotnego, który sprzedał
dziedzictwo za miskę soczewicy. Większość sprze-
daje swoje dziedzictwo co dnia, co godzinę nie-
mal — i to nie tylko własne, lecz i dziedzictwo dzie-
ci swoich.

Powiedzmy sobie raz otwarcie i szczerze: świat
należy do silnych. Jeżeli chcemy, by należał do
nas — musimy być silni. Niewolnik, znoszący bez
buntu — prawdziwego buntu — razy batoga, wart
jest jednego tylko — plag mocniejszych jeszcze.
Chyba, że jest filozofem—ale... ale wy, o współ-
cześni moi, nie jesteście przecie filozofami? I po-
wiedzmy sobie jeszcze: jesteśmy siłą, istotną siłą.
Tylko, że siły tej trochę nie umiemy, a bardziej,
nie chcemy używać. Ponosimy więc konsekwencje
własnej niewiedzy i własnej woli. Volenti non fit
iniuria — (chcącemu krzywda się nie dzieje), mak-
symba prawna, stara jak świat, choć przez rzymskich
dopiero ujęta prawników.

I w zbiorowem i w prywatnem życiu otwarte
są wszystkie drogi. Każdy ma w dłoniach klucz
do wszystkich pokoi. Każdy z nas wszystko może!
Wszystko! Tylko zdusić w sobie lęk i niezarda-
ność. Więcej wiary, więcej siły, więcej uporu. Li-
czyć tylko na siebie i skupiać się razem. Dla ma-
łostkowej wygody dnia dzisiejszego nie sprzedawać
nadziei i własnego jutra i jutra swych dzieci. Naj-
bliższa przyszłość może być nasza. Musimy jednak
zrobić sami. Ani dla nas, ani tembardziej za
nas, nikt nic nie zdziała. Nie wolno czekać. Ży-
cie się spieszy, diablo spieszy!

Frzebywajcie rzekę przed zbudowaniem
mostu.
W. W. Evert.

*W Twe czyste, dobre, miłujące oczy
Wzgardą plunąłem znieńacka i podle, —
A dzisiaj, szydząc, bluźnierstwem się modłę
Do duszy Twojej, którą męka mroczy.*

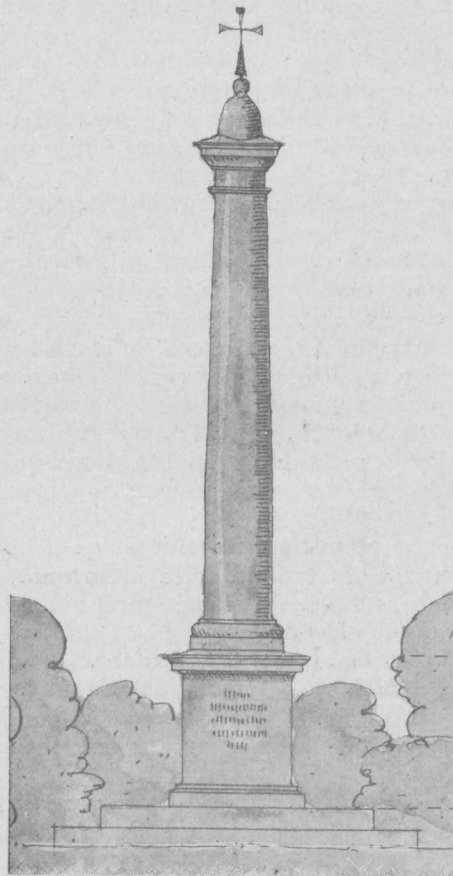
*Na duszy usta porankami wonne
Pocalowania kładły moje usta
Takie wytarte, jak płatna rozpusta,
I tem zuchwalsze, że były — — bezbronne.*

*Teraz odchodzę — szczęśliwy i dumny
Że — gdy mi rozpacz odebrała zmysły —
Twe białe myśli ponad piekłem zwiły
I duszę Twoją — grzech kładzie do trumny...*

*Kobieta jest jak Venezuela: nie oddaje tego, co
wzięła, i nie lęka się blokady.*

*Kobiety umieją być nie tylko nadpannami i nadzo-
nami, ale i nad... mężami.*

*H. Sienkiewicz. (w „Jednodniówce
warszawskiego balu literackiego“).*



Koło Siedlczan wznosi w roku bieżącym w Siedlcach pomnik
na miejscu stracenia powstańców 1863 r., według projektu ar-
chitekta W. Piaseckiego.

MIASTO MOJEJ MATKI

Każdy z nas ma wspomnienia, które chowa w najgłębszych tajniach swego serca. Są to wspomnienia dzieciństwa. Są one radosne i smutne. Dla jednych bowiem dzieciństwo było szczęśliwym rozkwitem dziecka, które wyrastało na dorosłego człowieka; dla drugich zaś było znów pasmem ciężkich a licznych utrapień.

Są róże i ciernie wieku dziecięcego. Są rozkosze, ale też są i tragedje dzieciństwa.

Poeta powiada: „Kochajcie, czego dwakroć nigdy się nie ujrzy!“ Dzieckiem jesteś raz. Nigdy już nie wrócą chwile dzieciństwa. Wszystko jedno: złe czy dobre chwile. Powrócą tylko wspomnienia. Przyjdzie taka chwila. Nawiedzi twe serce. Wspomnienia zaczną się cisnąć do umysłu, pamięć twoja pocznie snuć przedziwo... z tego, co było i nigdy nie wróci.

Straciwszy ukochaną swą córkę, śpiewał jej Kochanowski z Czarnolasu treny i pytał: Orszula moja wdzięczna, gdzieś mi się podziała? w którą stronę, w którąż się krainę udała?

Gdy pozostawimy hen daleko poza sobą czas dzieciństwa, również zapytać możemy: o złe, czy dobre lata dzieciństwa, gdzieście się podziały? Jakiegokolwiek byliście, jesteście bezpowrotnie stracone. A jednak zostało coś, prawie nic, a mimo to cały świat i karm na drogę całego żywota dalszego.

I cóż pozostało? Rzecz drobna, a jednak tak w skutki brzemienna. Oto wspomnienia ojca i matki i rodziny.

Tym oto wspomnieniem poświęcił Juliusz Kaden-Bandrowski prześliczną książkę („Miasto mojej Matki“, Warszawa, 1925.), napisaną z nieporównanym wdziękiem.

Chwile dzieciństwa opisywał Dickens i Spitteler, duszę dziecka przedstawiał Tackeray, Korczak i Dygasiński a zwłaszcza Dygasiński w arcydziełach swych opisywał pięknie życie i świat dziecka lub miłość, troski i kłopoty matki.

Ale „Miasto mojej Matki“ Juliusza Kaden-Bandrowskiego, ta naprawdę niezwykła książka, owiana urokiem wzruszającego liryzmu, posiadająca na swych kartach fragmenty artystyczne, płynące ze źródła najczystszej natchnienia, bo ze źródła miłości, ma cel — że tak powiem wychowawczy — zgoła inny.

Juliusz Kaden-Bandrowski pisze:

„Ojciec, — to Honor, Siła i Obrona. Gdy się człowiekiem staniesz, oddać mu będziesz mógł siłę, honorem i obroną.

Ale matce nigdy nie oddasz, już nazawsze dłużny. Bo nie masz tyle serca dla niej, ileś z niej wziął, — jak młody dąb nie odda soków z dobrej ziemi wziętych, a które krążą teraz w jego bujnej koronie.

Chcę byś, przeczytawszy to stronicę, niewiele o mnie myślał, lecz by się w tobie o zmroku czy południu wywiązał nagle ów poryw nieodrodny, którym zmożony pójdziesz do swej matki i nagle, ukradkiem, za rękę nawet nie biorąc, złożysz na jej czole ostrożny pocałunek, lżejszy niż puch wierzby, płynący przez wiosenne powietrze“.

Jaki wzruszający, piękny, wzniosły cel pisarza!

Smutek tylko wielki ogarnia, gdy się pomyśli o tem, że nieszczęśliwi, po przeczytaniu książki Kaden Bandrowskiego, będą Ci, co nie mieli ojców, nie mają i nie pamiętają swych matek.

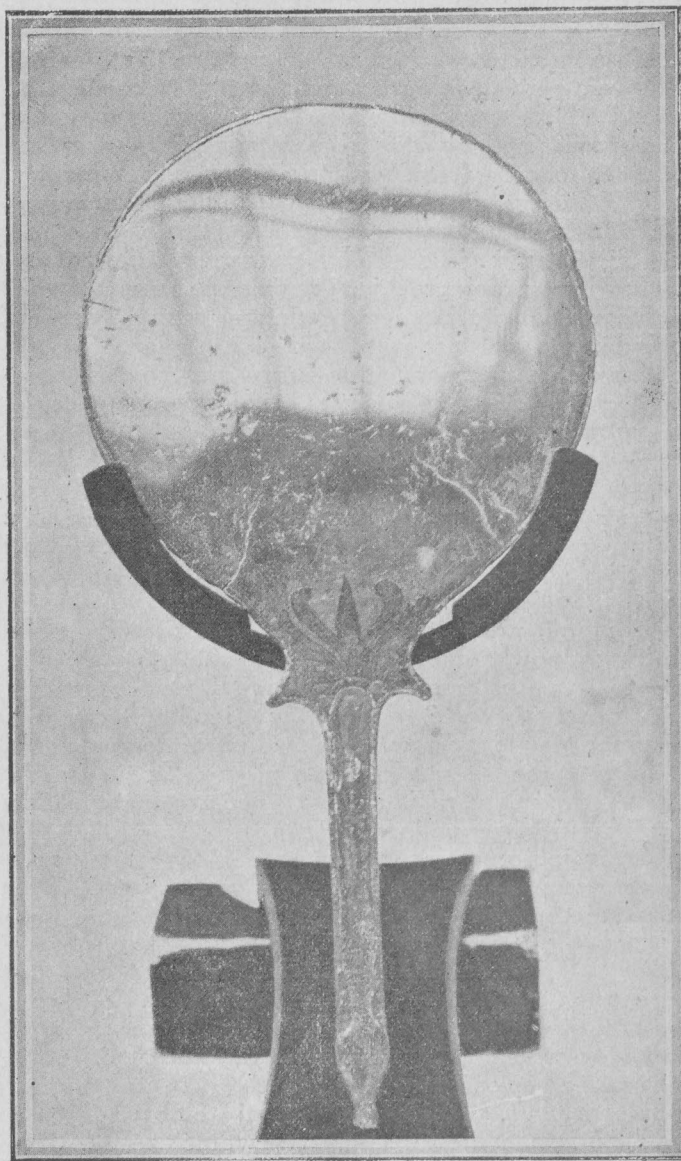
Ale pisarz powiada, że nie wszystko jeszcze, co potrzeba, powiedziane w „Miście mojej Matki“.

„Opasćmy to miasto — pisze — nie wcześniej aż wtedy, gdy mi położysz rękę na ramieniu i gdy mi powiesz, — że gdybyś swojej nie miał, tobys moją matkę kochał, jak własną“.

Dajmy tę książkę do czytania młodzieży i czytamy ją sami, my, ludzie dorośli.

Jest bowiem prześlicznie rozkwitłym pękiem kwiatu literackiego w ogródcu miłości.

Lektor.



Lustro staro-rzymskie z przed 2,000 lat z polerowanego metalu

PRELEGENT.

Pan Jan Stanisław dwojga imion Nabieralski odznaczał się nie tyle głęboką wiedzą, ile wielkim sprytem, a jednocześnie zamiłowaniem do robienia pieniędzy bez wielkiego wysiłku. Po ukończeniu trzech klas porzucił mury szkolne, oburzony na dziwne niezrozumienie przez profesorów jego wysokich aspiracji i rozglądać się począł po świecie za znalezieniem zajęcia, które, nie wymagając zbyt wielkiej fatygi, dawałoby przyzwoite dochody.

Próbował tego i owego, lecz nie przypadło mu do smaku, aż wreszcie drogą zgoła logicznych rozmyślań przyszedł do wniosku, że najlepsze zarobki dawać może eksploatawanie łatwowierności i naiwności ludzkiej...

Że zaś obawiał się z zasady wszelkich czynności, grożących zatargiem z kodeksem karnym, a w następstwie kryminałem, zdecydował się wybrać czynność najbardziej bezpieczną i został... prelegentem...

Obserwując baczenie swych współobywateli, starał się zbadać, co w owym czasie najbardziej zajmuje ich umysły, co jest w modzie i co może mieć największe powodzenie...

A przyszedłszy do przekonania, że wszystko, co otoczone jest tajemniczością, czego umysł ludzki ogarnąć nie zdoła, wszystko, co ma choć cośkolwiek wspólnego z światem nadmysłowym, budzi ciekawość, rozpala wyobraźnię, zabrał się energicznie do pracy...

Przedewszystkiem przybrał tytuł „yogha“, „drwszech nauk tajemnych“, „ucznia fakirów induskich“ i t. p., następnie z całego szeregu dzieł o wiedzy tajemnej wybrał wszystkie zdania o brzmieniu nader górnolotnem, powiązał je, starając się pogmatwać w ten sposób, by stały się jaknajmniej zrozumiałe, a przygotowawszy w ten sposób odczyt, rozkleił po mieście wielkie barwne afisze, łokciowemi literami zapowiadając prawdziwe cuda, i odpowiednio ucharakteryzowany, wygłosił swój elaborat przy wypełnionej sali, w głębi duszy ciesząc się z olbrzymich wpływów gotówkowych, oraz drwiąc pocichu z głupoty swych słuchaczy.

Prasa, zajęta ważniejszymi ponad wszystko sprawami teatralnemi, nie miała czasu zająć się zdemaskowaniem go, a nawet paru reporterów, zaproszonych na kolację, napisało pochwalne wzmianki.

Odczyt szedł po odczycie, a po wyeksploatowaniu stolicy, „znakomity“ prelegent wyruszył w objazd spragnionej wiedzy prowincji, skąd powrócił z solidnie wyładowanym trzosem, ażeby zażyć dobrze zasłużonego wypoczynku...

I znów „prelegent“ przygotowuje nowy odczyt, baczenie śledząc zwroty w modzie wśród publiczności. Martwi go tylko jedno, że genialny wynalazek jego nie może być opatentowanym, że rychło znalazł naśladowców, którzy na wszelkie sposoby komentując wiedzę tajemną, coraz nowe wynajdują sposoby eksploatawania naiwnej publiczności...

Pociesza go tylko jedno, że i dla niego, mimo licznej konkurencji, nie zabraknie zarobku, gdyż w Polsce jedna tylko rzecz jest bezgraniczną, to jest

naiwność ludzka, i że nigdy nie zabraknie takich, którzy na szumny tytuł odczytu złapać się dadzą...

Porasta też „w pierze“ nie siejąc ani orząc nasz „prelegent“...

Natomiast na odczytach prawdziwie naukowych sale świecą pustkami...

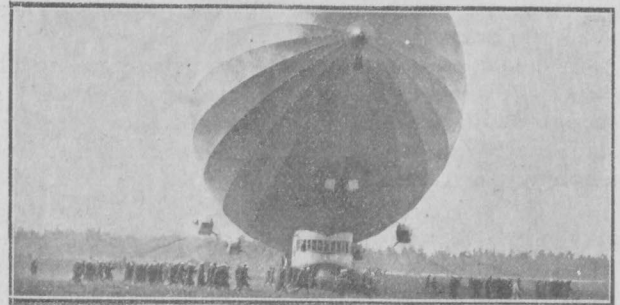
Bo przecież ktoby sobie tam głowę suszył jakimś tam zagadnieniami naukowemi, i słuchał, co plecie jakiś tam nudny stary przeważnie profesor...

Kabaret i „prelegent“ typu p. Jana Stanisława Nabieralskiego, są jedynymi a niestety prawdziwymi symbolami kultury umysłowej znacznej większości w nowoczesnej Polsce...

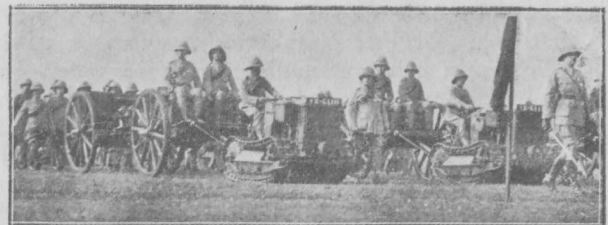
E. J. K.



Dzieci zmarłego cesarza Karola Habsburga i cesarzowej Zyty



Nowy statek powietrzny „Los Angeles“, zbudowany w Ameryce według typu Zeppelina, odbył podróż długości 1400 klm. z New-Jersey do wysp Bermudzkich bez uszkodzenia



Nowa artylerja motorowa angielska.

NASZE BOLĄCZKI

Zgodnie z uchwałą rady ministrów przy ministerstwie spraw wewnętrznych powstaje centralne biuro do zwalczania obiegu wydawnictw pornograficznych. Na dyrektora tego biura powołano p. Melchjora Wańkowicza, na zastępcę jego p. Antoniego Marczewskiego. Wybór jaknajtrafniejszy, z uznaniami tylko przyjęty być może przez społeczeństwo, gdyż zarówno osoba dyrektora, jak i zastępcy dają zupełną gwarancję, że sprawa cała ujęta zostanie z należytą powagą, że akcja przeprowadzona będzie należycie i sumiennie, że znacznie się przyczyni do zwalczania tak bardzo u nas rozpowszechnionej pornografii, siejącej demoralizację, zwłaszcza wśród młodego pokolenia.

Na jedną rzecz tylko pragnęlibyśmy zwrócić uwagę, a mianowicie na konieczność okiełznania temperamentów niektórych reporterów pism brukowych, którzy w pogoni za sensacją z dziwną lubością grzebią się w bagnisku życia codziennego przy opisywaniu nawet najdrobniejszego wypadku, wydobywając na jaw szczegóły i szczególiki, które bez żadnej szkody w ukryciu pozostać by mogły...

Opisy te nieraz są tak drastyczne, tak pikantne, że nawet starsi, a niezepsuci moralnie ludzie, czytają je z obrzydzeniem...

Pisma, o tym kierunku, niestety, cieszą się u nas dużą poczytnością, czyta je w znacznej ilości młodzież, a opisy tych brudów, częstokroć nader przesadzonych, pozostawiają pewien osad na jej umysłach...

Zadaniem nowego biura winno być w pierwszym rzędzie wywarcie wpływu na redaktorów tych pism, odwołanie się do ich uczuć obywatelskich, ażeby pohamowali trochę zapędy reporterów do niezbyt wonnych opisów, by przeprowadzali surowszą korektę ich utworów...

Bez wątpienia, zyska na tem zdrowie moralne ogółu, zyska nawet i samo pismo, gdyż stanie się dostępnem dla szerszych mas, które nie zawsze lubują się w szczegółowych, lecz pełnych błota, opisach wypadków.

* * *

Gdy zmrok zapadnie, gdy zmierzch szarym całunem otulać pocnie ulice miasta, ze wszystkich zakątków jego wysuwać się poczynają istoty najnieszczęśliwsze z nieszczęśliwych i snując się po ulicach, sieją zgorzenie, demoralizację, zwłaszcza wśród młodzieży. Pogardą otoczone przez wszystkich, odepchnięte, wyrzucone po za nawias społeczeństwa, rzucone na pastwę eksploatujących je mężczyzn — zwierząt, pozbawione praw ludzkich, jedyny ratunek, gdy młodość przemienie, gdy przyjdzie choroba, gdy wstręt ogarnie do wszystkiego, a przedewszystkiem do życia, ratunek jedyny, ukojenie znajdują w truciznie, w śmierci, jaką ona ssyła...

Mnóstwo ich jest, przerażające mnóstwo, tyśiące...

Tysiące młodych istnień, stworzonych do innego, lepszego, uczciwego życia, ginie corocznie w ba-

gnie występku wielkomięjskiego, popchnięte tam przez nędzę, przez złych ludzi, lub też złe instynkty swoje...

I niema wprost nikogo, kto by się nimi zajął, kto by ratował, kto by powstrzymał na skraju przepaści, kto by opieką otoczył i od zaguby ocalił...

Istniejące tow. walki z demoralizacją usiłują szukać ratunku przed tem coraz bardziej rosnącym złem pod ochroną paragrafów policyjnych... Lecz nigdzie, na całym świecie, policja nigdy nikogo na drogę cnoty nie naprowadziła.. To też stawianie policji w roli opiekuna upadłych, a ujęcie całej sprawy walki z nierządem w ramy paragrafów i nakazów policyjnych jest wprost groteskowym pomysłem, nad którym należy przejść do porządku dziennego.

O działalności Tow. Ochrony Kobiet u nas nic jakoś nie słyhać, a jednak ono ma tutaj najszersze pole do działania... Ono jedno przy umiejętnem, pełnem miłości, współczucia i zrozumienia tego ogromu nędzy ludzkiej, tej potwornej nieraz gehenny cierpień, mogło by tu wiele zdziałać i uratować niejedną młodą istotę od zguby...

Bijemy na alarm, wzywamy do pracy wyjątkowej, a celowej w tym kierunku, gdyż zło rośnie, potężnieje...

A dowodem tego są tysiące istot, snujących się w mroku wieczornym po wszystkich ulicach miasta...

* * *

Posłowie żydowski do Sejmu, zarówno jak i prasa żydowska, atakują z całą zajadłością rząd o udzielanie możebnie najwyższych subsydjów na prowadzenie szkół hebrajskich. Posiadamy jednak dowód, jak pewien odłam społeczeństwa żydowskiego rozumie swoją odłańność w stosunku do Polski, a zwłaszcza języka polskiego. Jest to podręcznik do nauki wymowy hebrajskiej p. t. „Mojre szewuchej bałuszim“, wydany w ubiegłym tygodniu w Warszawie, przez księgarnię A. Szapiro, Nowolipki 8.

Przeglądamy ten podręcznik szkoły hebrajskiej i znajdujemy w nim słowa objaśniające w językach... niemieckim, rosyjskim i hebrajskim, polskiego ani śladu.

A więc za pieniądze rządu polskiego młodzież żydowska ma się uczyć w językach nietylko obcych, ale i wrogich polszczyźnie?..

To już prawdziwa bezczelność...

Na taki wybryk nacjonalistów żydowskich winno zareagować energicznie nasze Ministerstwo Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego, pouczając ich, że w Polsce nauka odbywać się może li tylko w języku polskim, że w swem umiłowaniu wszystkiego, co rosyjskie i niemieckie, przekroczyli wszelkie granice.

Wydanie tego podręcznika znakomicie demaskuje oblicze nacjonalistów żydowskich, głośno krzyczących o krzywdach, jakich doznają rzekomo w Polsce, a w głębi duszy tęskniących do Rosji i Niemiec.

Czas położyć kres tej bezczelności.

Z TYGODNIA

Uwaga polityków całego świata pochłonięta jest obecnie dwoma nadzwyczaj ważnymi sprawami: pierwsza — to wybory prezydenta w Niemczech, gdyż od nich w znacznym stopniu zależy linja dalszej polityki zarówno wewnętrznej, jak i zagranicznej Niemiec. Wszystkie niemal stronnictwa wysuwają swoich kandydatów, przygotowując się energicznie do walki wyborczej. Najpoważniejszymi kandydatami są Marx i Luther, choć wielką niespodziankę może stworzyć wysuwana przez monarchistów kandydatura ex-kronprinca. W każdym bądź razie koniec kwietnia, na który oznaczono wybory, będzie decydować o dalszych losach Niemiec.

Druga ważna sprawa — to kwestja paktu bezpieczeństwa granic Francji. Omawiamy ją szczegółowo w artykule wstępnym. Obecnie uwagę całego świata koncentrują Paryż i Genewa, gdzie w tej sprawie toczą się lub toczyć się będą rokowania.

Krótkotrwały pobyt ministra spraw zagranicznych Skrzyńskiego w Paryżu, i przeprowadzone przez niego konferencje z francuskimi politykami, dały w wyniku cały szereg nader sympatycznych i wykazujących ważność tych rokowań dla Polski artykułów w prasie wszystkich odcieni. Jednomyślnie prawie domagają się one wyraźnego wypowiedzenia się Francji w sprawie bezpieczeństwa granic Polski.

Cały ciężar tego zagadnienia spoczywa obecnie na rokowaniach, prowadzonych przez angielskiego ministra spraw zagranicznych Chamberlaina z prezesem ministrów francuskich, Herriotem.

Przeciwko polityce angielskiej, popierającej uroszczenia niemieckie, a skierowanej przeciwko Polsce, występują i przedstawiciele małej Ententy, których zdaniem polityka ta jest nader szkodliwą i niebezpieczną dla ustabilizowania się stosunków. Anglja wogóle nie zwraca uwagi na specjalne warunki, w jakich znajdują się rządy małej Ententy, co może doprowadzić do różnych powikłań.

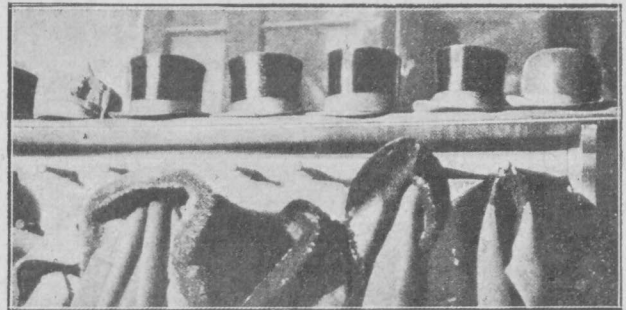
Rozstrzygnięcie tych wszystkich zagadnień nastąpi na posiedzeniu Ligi Narodów w Genewie, gdzie będzie rozważaną kwestja odpowiedzi na notę niemiecką z 12 grudnia, zawierającą warunki wstąpienia Niemiec do Ligi Narodów.

Panuje tam przekonanie nieszczeroci polityki niemieckiej, gdyż Niemcy nie mają istotnego zamiaru wstąpienia do Ligi. Należy się spodziewać, że rada odrzuci żądania Niemiec zapewnienia im uprzywilejowanego stanowiska, co do zwolnienia Niemiec od udziału w sankcjach międzynarodowych i zachowania neutralności na wypadek ataku na Polskę.

Rząd polski spotyka się z komplementami i pragnieniem stałych, pokojowych stosunków z dwóch stron naraz: monarchistów rosyjskich, przebywających w Białogrodzie, którzy twierdzą, że „przyszła Rosja narodowa chce widzieć Polskę i niezależną i dostatecznie silną, ponieważ odpowiada to interesom rosyjskim“, oraz p. Cziczerina z Moskwy, który na posiedzeniu Centralnego Komitetu Wykonawczego S. S. S. R. w Tyflisie oświadczył co następuje: „O wiele ważniejszą sprawą dla nas są sto-

sunki z Polską, która jest największem państwem wśród naszych bezpośrednich sąsiadów i przedstawia sobą realną siłę“.

Te komplementy nie będą również zbyt przyjemne dla Niemców, którzy nadmiar wszystkiego mają sporo kłopotów z powodu powszechnego strajku kolejowego, wywołanego domaganiami podwyższenia zarobków i zmniejszenia czasu pracy.



„Tryumf“ Sowietów (dosłownie): „Fotograf „Ogońka“, zdejmując chwilę wręczenia listów uwierzytelniających przez posła polskiego, nie zapomniał sfotografować wieszadła w przedpokoju M. I. Kalinina w Kremle. Czerwoarmiejski hełm i obok niego szereg wymuskanych cylindrów burżuazyjnych — to w swoim rodzaju międzynarodowo-polityczny wynik S. S. S. R. za rok ubiegły“. Zaiste, „historyczna“ fotografia i wspaniały „tryumf“ sowieckiej dyplomacji.



Patryarcha grecki Konstantyn IV, wygnany z Konstantynopola, opuszcza swój pałac



Nowy sport w kostjumach kąpielowych. Hockey na lodzie jeziora St. Paul w Minneapolis

JAN PORUK

W Ł A S N Y T E A T R

(Z Ł O T E W S K I E G O)

Posiadamy własny teatr. Wejścia bezpłatne—jeżeli łaska. Tylko nasz Ruz coś gniewny. Wystawiamy tragedje, dramaty, komedje, krotchwile, opery, operetki. Wszystkie utwory oryginalne. Akcja podzielona na akty, charaktery określone. Scena w Dzerwie—jedna z największych w całym Bałzysku. Dyrektor—Żwigur, jeden z najpoważniejszych gospodarzy w naszej gminie. Wszystkie stworzenia żyjące — aktorzy w Liel-Dzerwie. Niedościągłym w swych rolach jest świniopas Piotr. Nikt nie jest tak oberwany i zuchwały, jak Piotr. Niema nikogo, ktoby miał twarz czarniejszą od niego. Nikt tak nie kłamie, jak ten sam Piotr. Dziadek—król, babka—królowa. Mają swój kącik dramatyczny za piecem. Djalogi ich zwykle są bardzo ożywione, niekiedy nawet bardzo groźne, dopóki noc nie okryje Liel-Dzerwy swym mrokiem. Wtedy djalog w kąciku dramatycznym staje się coraz cichszym, nieokreślonym, dopóki babka—królowa, która zawsze musi mieć ostatnie słowo, nie zaśnie z dramatycznym okrzykiem na ustach, to—coś jakby westchnienie z powodu nowych porządków, coś, jakby słowo, wyrzeczone po to, ażeby przejąć króla zdumieniem. Potem, przy świetle księżycy, na narożnik pieca wychodzi legendarny świerszcz z nudnymi monologami i gada o nieśmiertelności, o tem, że wicher wył w kominie, że prusaki marnie zginęły w dzbanku z mlekiem, że on to właśnie w szczelinie belki panował nad prusakami przez cały miesiąc, że na jesieni muchy wymarły, i że tylko jedna, na podziw, ocalała, lecz w wieczór wigilijny wpadła w sieci pająka. Lecz pająk, pożerając marnie pieczone, pluł tak, że wszystkim stał się wstrętnym, i wszyscy uciekli.

Lecz i świerszcza obowiązują pewne prawa, i monologi jego mają swój kres.

Tylko zegar na ścianie powtarza bez przerwy swoje: czas upływa, czas upływa.

Przedstawienia w teatrze w Liel-Dzerwie nie mają końca. Sztuka idzie za sztuką. Każdy dzień ma swoją komedję, swoją tragedję... Kogut i świniopas Piotr—wspaniali śpiewacy operowi. Kogut—zwolennik starej muzyki, Piotr—zwolennik Wagnera. Niekiedy wpada on w skrajnie nowo-włoską szkołę: wtedy twarz jego staje się sino-czarną, i każdego, kto widzi go lub słyszy, ogarnia przerażenie.

Role bohaterskie odgrywa Karol. Niekiedy, w charakterze gościa, występuje on w karczmie Sikum. Tam sztuką swoją tak się unosi, że krew, w rzeczywistości, płynie z przeciwników jego poглядów.

Amant—Dzipur. To młody chłopiec, o sercu bardzo miękkim, którego twarz płonie rumieńcem, gdy dziewczyna spojrzy na niego. Posiada on wiele uczucia, lecz ma słaby głos i technikę.

A oto, niech dorównie Piotr—wtedy inna sprawa. Żona Żwigura—postać epizodyczna. Występami swemi stwarza tylko sytuacje naiwno-komicz-

ne. Zupa i znów zupa. Chleb i znów chleb. To wszystkie jej myśli, wszystkie jej słowa. W sprawy te wnika, i wykonywa je, jak raz na zawsze nakręcony zegar. Mało lub wcale ją nie interesują bohaterskie czyny Karola, niezręczne kroki Dzipura na drodze miłosnej, djalogi dziadka i babki. Tylko w stosunku do małego Piotra wpada niekiedy w ton dramatyczny. Wtedy nader mało zważa na tradycje sceniczne i chwytą wszystko, co jej wpadnie w rękę: polano, gałęź lub miotłę. Piotr w takich razach znika ze sceny i tem epizod się kończy.

Mila. To zjawisko zupełnie nowego rodzaju. Posiada swoje ideały — to sąsiad Wolk, nowa sukienka i wesele,—im prędzej, tem lepiej. Wymowa u niej niewyraźna, śmiechu bardzo dużo, a snu—ile Bóg da.

Najulubieńsza sztuka w Liel-Dzerwie—legenda romantyczna „córka Kazuraga“!

Rozgrywa się podczas sianokosu, na polanie leśnej, kiedy pogoda tak cudna i ciepła, że z radości poprostu warujesz. Dramat nazywa się tak dlatego, że Mila nosi niezbyt poetyczne imię Kazuraga. Lecz jeżeli to słowo szorstkie jest i odpychające, zato nader mile, miękko i czule brzmi słówko: córeczka. I jaką jest nazwa dramatu, taką jest i jej treść: mięszana, pełna przeciwieństw i kontrastów. Pierwszy akt rozgrywa się w czasie rosy porannej, kiedy ciemno-zielone cienie świerków daleko sięgają przez wąską leśną łączkę, przeciętą przez strumień. Błękitne niebo z białymi, malutkimi obłoczkami odbija się w małych kałużach, nad którymi zwieszają się jałowce, z gałązkami pełnymi jagód. Tu panuje jeszcze prawdziwa natura, tu przebywają jeszcze żmije, i dzieciół kuje w suchą sosnę. Ostrzą kosy. Karol posiada najlepszy toczak. Do niego zwracają się Mila i Anna, gdy ich kosy się stępią. Wtedy Dzipur staje się zazdrosnym, gdyż Mila patrzy Karolowi w oczy i śmieje się. Tak się śmieje, jakby chciała mu powiedzieć: chodź tutaj i pocałuj mnie. Anna jest cicha i powściągliwa. Lecz i jej kosa tępieje. Karol wykonywa swą czynność. Mało słów, wiele spojrzeń i cichych myśli. Zawoła ktokolwiek—echo odpowiada w lesie. Takim jest pierwszy akt. Potem żona Żwigura przynosi śniadanie, — tem rozpoczyna się drugi akt. Pogoda staje się coraz cieplejszą, tak, że w trzecim akcie temperaturę można nazwać gorącą. Wtedy Karol w swej koszuli rozrzuca siano i kłóci się z Dzipurem, wstydzającym się zdjąć kurtkę. Lecz Mila wie, że spór wiodą nie o to, o co kłóca się słowami, lecz, że to prawdziwy, serdeczny spór o nią. Dlatego jest jej tak niezręcznie, dlatego mówi, że pójdze do strumienia umyć twarz. Lecz Karol chce raz i areszce dowiedzieć się prawdy. Zręcznie podąża za piękną dziewczyną, dopędza ją przy kałuży, gdzie ona, stanawszy w płytkim miejscu, rozwiązuje chustkę na głowie i zamierza umyć różowe policzki i czarne, błyszczące oczy,

— Czego chcesz? — pyta gniewnie.
 — Czego ja chcę? — chce powiedzieć Karol, lecz nie mówi.

„Ciebie, ciebie“, myśli i cały płonie. Zamierza podejść do Mili jaknajbliżej, zamierza objąć ją i wynieść na brzeg.

— Nie chodź! — grozi Milla.

Lecz on mimo to próbuje. Bac! — i ciska mu w oczy garść ciężkiej wody. Czuje, że taki cios nie jest zbyt wymownym świadectwem miłości.

— Ach, więc tak! — wykrzykuje, aż Milla drgnęła. Ucieka do lasu. Okólną drogą dobiega do stodoły, chwytając kurtkę, pośpiesznie nakłada ją i ucieka drogą, — precz! precz!..

Pić, wszystko przepić, szaleć, bić się, dopóki nie zdarzy się coś oszalamiającego, co by zdołało obudzić go z gorączkowego snu miłosnego.

W czwartym akcie pozostali na łące pracują i wzywają Karola. Lecz ten się nie zjawia. Żwirgur wszystko rozumie. Żałuje, że przyjął tak szalonego parobka, który, gdy się złości, nie uznaje nic świętego. Gani to jednego, to drugiego, ze wszystkiego niezadowolony. I pod wieczór, gdy wszystko skończone, sam wędruje do karczmy, ażeby zobaczyć, co robi Karol.

W piątym akcie Milla stoi przy stodole. Zmierzcha się. Tu na łąkach wszystko skończone. Żegnaj do następnego lata, a być może i na całe życie. Tu, mimo wszystko, było dobrze. Mimo woli płyną łzy.

Niebo zachmurza się. Zaczyna powiewać wiatr. To nie wiatr, to idea i motywy do nowego, być może, straszniego dramatu w Liel-Dzierwie.

ROZMAITOŚCI

Sowieckie anegdoty. *Cuda w Niemczech.*

W tych dniach redaktor „Ogońka“ rozmawiał z Karolem Radkiem na temat nowego rządu w Niemczech.

— Komu nie zazdroścę — rzekł Radek — to katolickiemu centrum w parlamencie.

— Dlaczego?

— Gdyż wpada ono z deszczu pod rynek. Było pod władzą marksizmu, a teraz dostało się pod władzę luterzańską.

— Jakto?

— Ma się rozumieć. Wszak rząd Marksa zamieniony został przez rząd Luthera.

Parvus — „matematyk“.

O zmarłym socjaliście-bankierze Parvusie krąży wiele zajmujących anegdot. Między innymi opowiadają, co następuje:

Pracownicy Parvusa zażądali podwyższenia zarobków. W odpowiedzi na żądania pracowników Parvus wysłał im następujący list:

„Rok ma	365 dni
Wy, jednakże, pracujecie tylko 8	
godzin, t. j. ogółem 1/3 roku	122 dni
Po odliczeniu niedziel	52 dni
pozostaje	70 dni

W soboty po obiedzie pracy niema, co stanowi	26 dni
pozostaje	44 dni
Godzinna przerwa na śniadanie stanowi	13 dni
pozostaje	31 dni
W każdym roku należy się wam 2-tygodniowy urlop	14 dni
pozostaje	17 dni
Uchwalone przez prawo święta stanowią	12 dni
pozostaje	5 dni
Conajmniej przez 5 dni w roku chorujecie lub jesteście nieobecni z jakiegobądź innego powodu	5 dni
pozostaje	0 dni

I wobec tego żądacie, panowie, podwyżki zarobków? Nie, to niemożliwe!“.

Od siebie zaś sowieckie pisma z całą powagą dodają dla agitacji:

„Taką jest „arytmetyka“ burżuazji przy wszystkich jej rozrachunkach z robotnikami“.

I to zakończenie, mimowoli, stanowi cały humor tej anegdoty.

Z TEATRÓW ŚWIETLNYCH

ZAGADNIENIE GRY PODWÓJNEJ

Było to jeszcze przed wojną, gdy Kaz. Kamiński, występując w pewnej sztuce teatralnej, grał jednocześnie dwie role. Eksperyment był bardzo ciekawy. Publiczność mocno zaintrygowana.

Jak on też będzie grał? Jak będzie wyglądał? I którą rolę zagra lepiej?

Eksperyment w istocie rzeczy ciekawy. Wy maga on niezwykle szybkiego przystosowywania aktora, momentalnego przedzierzgnięcia się, pewnej, że tak powiem, mimikry artystycznej. Na plan pierwszy występuje tu charakter gry.

Ale nietylko na scenie teatralnej, lecz i w kinematografii zjawia się zagadnienie podobne. Z tą wszakże różnicą, że aktor kinematograficzny ma zadanie łatwiejsze. Nie krępuje go bowiem jedność czasu. Gra fragmentami w różnych okresach.

Właśnie Mae Murray w „Tajemnicy księżnej Farinowej“, filmie wyświetlanym w „Stylowym“ gra dwie role: Księżnej Farinowej i jej siostry. Nie podobala mi się ani w jednej, ani w drugiej roli. Albowiem nie gra dwu ról całkiem różnych, lecz robi kopje ról innych artystek filmowych. W roli swej siostry jest oto uderzająco podobna w całej grze do Liljany Gish. Wprawdzie jest to rzecz też trudna. Zagrać dwie inne artystki filmowe. Ale jest to linja mniejszego oporu.

Film wytwórni amerykańskiej, wzięty z życia rosyjskiego, zgoła nie banalny. Wyświetlany dobrze. Scenariusz ułożony zręcznie, konsekwentnie.

LEAFCADIO HEARN

4)

MIMI NASHI HOITSHI

Przed zachodem słońca, kapłan, przy pomocy nowicjusza, rozebrał Hoitshi do naga i okrył piersi jego, plecy, twarz, głowę, szyję, ręce i nogi, nawet podeszwy, tekstami z świętej sutry Hannia-Shin-Kio.

Potem dał mu kapłan wskazówki, jak ma postępować.

— Dziś wieczorem,—rzekł mu — gdy pójdę, usiądź na tarasie i czekaj. Będą cię wołać, lecz ty nie ruszaj się i nie odpowiadaj, żeby nie wiedzieć co działo się przy tobie. Siedz nieruchomo, jakby pogrążony w świętobliwe rozmyślania. Najmniejszy ruch, najmniejszy szmer z twojej strony—i rozszarpia cię na kawałki. Lecz nie obawiaj się i tylko nie myśl wołać o pomoc; — uratować cię nikt nie może. Jeżeli ściśle wykonasz moje polecenia—niebezpieczeństwo minie, i nie będziesz się miał czego już obawiać...

Gdy zapadła noc, kapłan odszedł z nowicjuszem, a Hoitshi usiadł na tarasie, jak mu kazano. Położył biwę na podłodze obok siebie, przybrał postawę pogrążonego w świętobliwych rozmyślaniach i siedział cicho, starając się nie kasłać i o ile możliwości najciszej oddychać.

Tak upłynęło wiele godzin.

Naraz posłyszał kroki na drodze; ktoś szedł przez ogród, przybliżył się do tarasu i zatrzymał się przed nim.

— Hoitshi! — zawołał czyjś gruby głos.

Lecz ślepy nie ruszał się i siedział, zatrzymując oddech.

— Hoitshi! — drugie wezwanie było już groźne, a trzecie gniewne:

— Hoitshi!...

Hoitshi siedział niemy, nieruchomy, jak kamień.

— Nie odpowiada — burknął głos: co to znaczy?... Zobaczmy, gdzie on się podział...

Ciężkie kroki rozległy się na schodach, zbliżyły się i zatrzymały się przed ślepcem. Nastąpiło parę sekund grobowego milczenia, podczas których Hoitshi czuł, że mu krew stygnie w żyłach. Gruby głos rozległ się przy nim:

— Oto leży biwa, lecz z całego muzykanta widać tylko uszy. Nic dziwnego, że nie odpowiada. Przecież niema ust, ażeby odpowiedzieć; nic z niego nie pozostało, oprócz uszów; nie ma co robić, zaniosę mojemu panu choć uszy; przekona się, że jego najwyższy rozkaz był wykonany, o ile to było możebne.

W tejże chwili Hoitshi poczuł, że żelazne palce schwytały go za uszy i oderwały je. Pomimo strasznego bólu, nie wydał żadnego jęku. Ciężkie kroki głucho rozległy się na tarasie, zeszyły do ogrodu i zacięły na wielkiej drodze. Ślepiec czuł, jak z obydwóch stron głowy jego płynęły gęste, ciepłe krople, lecz nie odważał się podnieść ręk.

* * *

Przed wschodem słońca kapłan wrócił do domu. Podążył na taras i poślizgnąwszy się, nastąpił

na coś ślizkiego, lepkiego. Zobaczywszy przy świetle latarni, że to krew, wykrzyknął z przerażenia. Tylko teraz zauważył Hoitschi; pomimo krwi, płynącej z ran jego po policzkach, wciąż jeszcze siedział, jakby pogrążony w świętobliwych rozmyślaniami.

— O, biedny, biedny mój Hoitshi! — zawołał zmartwiony kapłan—co się stało z tobą? Co z tobą zrobili?...

Posłyszawszy głos przyjaciela, ślepiec poczuł, że jest uratowany. Rozpłakał się i ze łzami opowiedział swą nocną przygodę.

— Biedny, biedny Hoitshi!—zawołał kapłan—to moja wina! Jakie fatalne zapomnienie! Całe ciało twoje okryliśmy świętymi znakami, a zapomnieliśmy o uszach! Polegałem na nowicjuszu, lecz winien jestem, że nie sprawdziłem, czy wykonał on ściśle moje polecenie. Lecz nie ma co robić, teraz złego nie naprawi się; postaramy się jaknajprędzej wyleczyć twe rany. Odwagi, mój przyjacielu, niebezpieczeństwo minęło i strasni goście nigdy już nie przyjdą do ciebie!...

Zręczny lekarz wyleczył rany Hoitshi, a wieść o jego dziwnej przygodzie rozeszła się po całym państwie i zrobiła go znakomitością. Wiele wybitnych osób przyjeżdżało specjalnie do Akamagasaki, ażeby posłuchać śpiewu jego i muzyki; złoto sypało się do jego kieszeni, i wkrótce został bogaczem. Lecz od czasu tego nie nazywano go inaczej, jak Mimi-Nashi-Hoitshi, t. j. Hoitshi bez uszów.

OSHIDORI

W okręgu Tamura-no-Go, w prowincji Mutsu, przebywał sokolniczy i myśliwiec, imieniem Sandzo. Razu pewnego udał się on na łowy; cały dzień chodził, lecz nigdzie nie znalazł zwierzyny. W drodze powrotnej, w miasteczku Ananuma, przeprawiając się przez rzekę, ujrzał, nareszcie, parę płynących obok siebie oshidori *). Zabić oshidori — grzech, lecz Sandzo tak był głodny, że wystrzelił do nich. Strzała przebiła samca, samica zaś ukryła się w trzcinnie, na przeciwległym brzegu. Sandzo zabrał z sobą zabitego ptaka i w domu upiekł go.

W nocy przyśnił mu się straszliwy sen. Jakby do pokoju jego weszła piękna niewiasta i podszedłszy do węzłowania łoża jego, zalała się łzami. Tak żałośliwie łkała, że, słysząc ją, wydawało się Sandzo, że serce jego rwie się na strzępy. Niewiasta rzekła do niego:

— Za coś ty zabił go? Czem ci on zawinił? Byliśmy tak szczęśliwi w naszym rodzinnym Ananuma, a tyś nas rozłączył!... Co on ci zrobił?... Czy choć zdajesz sobie sprawę z tego, coś uczynił?... O, ty nawet nie uświadamiasz sobie okrucieństwa swego!... Tyś zabił nie tylko jego, ale i mnie; wszak bez niego nie ma dla mnie życia!... Zjawiłam się tu tylko dla tego, ażeby ci to powiedzieć... (D. n.)

*) Od wieków oshidori — gatunek dzikich kaczek — czczone jest na dalekim Wschodzie jako symbol przywiązania małżeńskiego.

SĘDZIA PRZYSIĘGŁY

Źle skrojona brązowa kurtka, której małe mosiężne guziki jakgdyby próbowały zachować wygląd wesoły, wydała się panu Bosengate śmiesznie kusa, choć przecie nawykł był już do widoku tych kurtek. „Nonsens“, pomyślał, „lumbago. Właśnie to miejsce powinno być osłonięte“. Potem oficer i dżentelmen wziął w nim górę i dodał w myśli: „Jednakże pewne różnice muszą być zachowane“.

Twarz małego żołnierza była może niegdyś ogorzała, teraz zaś miała barwę ziemistą. Duże ciemne oczy z otoką białka pod tęczówką, jakie miewają ludzie nadmiernie nerwowi, spoczywały kolejno na twarzach obecnych, — sędziego, prokuratora, kolegum przysięgłych i publiczności. Policzki miał zapadnięte, ciemne włosy były jakby wilgotne, szyja obandałowana. Agent handlowy, siedzący po lewej stronie majora, odwrócił się i szepnął:

— Co za wstrętne straszdyło.

Bosengate udał, że nie słyszy; nie mógł znośić tego pana. Powoli zanotował na kawałku papieru: „Oven Levis“. — Walijczyk. — Tak, wyglądał na to, wcale nie angielska twarz. Usiłował odebrać sobie życie; to także nie po angielsku. Przesłanką moralną samobójstwa jest upadek ducha, poddanie bezwolne losowi, nie mówiąc już o religijnej stronie tego zagadnienia. Lecz samobójstwo w mundurze wydawało się panu Bosengate szczególnie odrażające, to tak jakgdyby ktoś pokazywał plecy nieprzyjacielowi, tego nie można nazwać inaczej, jak tylko dezercją.

Starał się spojrzeć na więźnia bez uprzedzeń. I więzień zdawał się spoglądać na niego, a może było to tylko złudzenie.

Prokurator, mały energiczny siwy człowieczek, mający już dawno po za sobą wiek powinności wojskowej, zabrał głos, przytaczając okoliczności przestępstwa. Pan Bosengate, choć niezbyt wrażliwy na atmosferę, wyczuł niby prąd przebiegający przez salę; było to tak jakgdyby myśli kolegum sędziowskiego i publiczności drgały rytmicznie, posłuszne uprzedzeniu, z którego istnienia on sam zdawał sobie doskonale sprawę. Nawet blade cesarowe oblicze prezesa sądu pozornie niewzruszone, zdawało się jednak odbijać te fale.

„Panowie sędziowie, zanim przedłożę wam dowody przestępstwa, zwracam waszą uwagę na bandaż, który oskarżony nosi jeszcze; ranę tę zadał on sobie sam, brzytwą skarbową, dodając, jeśli się tak wyrazić można, zniewagę do krzywdy, którą zamie-

rzał wyrządzić ojczyźnie. Nie przyznaje się do winy; na śledztwie pierwiastkowym zaś podał jako przyczynę targnięcia się na życie — tęsknotę za żoną“ — i tu przymknięte wargi prokuratora rozchyliły się, — „panowie, jeśli takie motywy mają mieć dziś wagę w naszych oczach, w takim razie zaprawdę nie wiem, co się stanie z naszym państwem“.

„Tak jest, na Boga żywego!“ potwierdził w myśli pan Bosengate.

Zeznania świadków, współtowarzysza sypialni, który schwycił był przestępcę za rękę, i sierżanta, którego powiadomiono natychmiast o wypadku, nie pozostawiały żadnych wątpliwości. Udawanie się sędziów na naradę będzie zatem zbyt bezcelne i majorowi poczęła już uśmiechać się nadzieja wcześniejszego powrotu do domu. Nagle jednak wypłynęła nieprzewidziana trudność. Okazało się, że nie stawił się lekarz wojskowy, prezes sądu jednak okazał się po raz pierwszy dnia tego dostępny do jakichkolwiek uczuć ludzkich i odłożył dalszy ciąg rozpraw do następnego dnia.

Pan Bosengate przyjął to oświadczenie obojętnie; będzie mógł tem wcześniej wrócić do domu. Złożył tedy swoje notatki, schował je do kieszeni i zabierał się do wyjścia. Niedoszłego samobójcę wyprowadzono właśnie z sali. Mizerna, nieszczęsna, zgarbiona postać, — co za korzyść dla kraju z takich ludzi w dzisiejszych czasach, tak, co za korzyść? Więzień podniósł oczy. Pan Bosengate uchwycił na sobie spojrzenie tych wielkich, ciemnych oczu z otoką białka połyskującą pod źrenicami. Ileż cierpienia, bólu, przygnębienia malowało się na tej twarzy! Też satysfakcja tak wyglądać! Więzień zniknął na zakręcie schodów. Pan Bosengate wyszedł i skierował się przez plac do hotelu, w którym pozostawił samochód. Słońce przypiekało mocno, pomyślał tedy: „Muszę podlać ogród“. Wytoczył samochód i miał go właśnie puścić w ruch, gdy usłyszał tuż koło siebie kroki i znajomy głos:

— Dzień dobry, co za nikczemny nędzarz z tego więźnia, nieprawdaż, takich ludzi nam nie trzeba.

Był to sąsiad z ławy przysięgłych, komiwojażer, w słomkowym kapeluszu i z małą brązową walizeczką w ręku; na wąsach miał jeszcze pianę niedopitego piwa. Pan Bosengate rzucił krótkie „Dzień dobry“, dodając w duchu: „Żadnego z was mój miły“ i puścił w ruch maszynę możliwie jaknaj hałaśliwiej.

(D. c. n.)



OSTATNIE MODELE KAPELUSZY WIOSENNYCH

W IMIĘ CZEGO?

W jednym z pism tygodniowych, przeznaczonym specjalnie dla kobiet, pewna autorka zwalcza nadmierne dekolta sukien balowych i innych w imię nader ciekawych i oryginalnych argumentów. Piśsze ona:

„Cudnej pani, hołdującej niewolniczo modzie nagości, mam chęć niezmierną szepnąć coś do ucha — tak cichutko, aby nie usłyszał żaden przedstawiciel płci brzydkiej:

— „W imię piękna, wdzięku i własnego dobra — mniej dekoltu!”.

To „ciało“, które mężczyzna widzi rano, w południe, wieczorem, w biurze, w tramwaju, w wagonie, w aeroplanie, na ulicy, w domu, w kinie, w teatrze, w cukierni — stępiło do cna jego wrażliwość, uczyniło go apatycznym na największe cuda przyrody. Współczesny młodzian, trzymając w tańcu półnagą danserkę, patrzy w nią tak osowiałym wzrokiem, iż naprawdę, czyni wrażenie człowieka, któremu z nadmiaru słodyczy jest już zupełnie niedobrze“...

Zaiste, nader oryginalne poglądy i zasady propaguje autorka tego feljetoniku. A więc niewiasty nie mają się dekoltować li tylko, by nie stępić wrażliwości mężczyzn, by młodzian osowiałym wzrokiem nie patrzył na nadmiar odkrywanych przed nim wdzięków. Tylko to — nie wstyd niewieści, nie względy przyzwoitości, a w końcu wreszcie choćby i względy higieny.

Dziwne świadectwo wystawia autorka niewiastom współczesnym, że tylko nadmiernym dekoltażem mogą wpływać na wrażliwość rodu męskiego, że kobieta nic innego nie posiada, czem by mogła przykuć do siebie mężczyznę...

Byłoby to smutne cofnięcie się w czasy pierwotnego niewolnictwa kobiety, gdyby tylko było prawdziwe...

Na szczęście jednak tak nie jest...

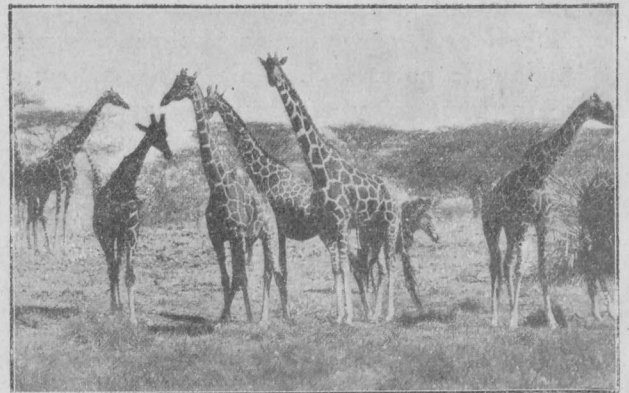
Kobieta współczesna, kobieta wyzwolona nie

z przesądów, lecz z powijaków średniowiecza, które krępowały swobodę jej czynów i myśli, kobieta, która rozumem swoim i pracą dorównywa, a nawet niekiedy i przewyższa mężczyznę, ma tyle innych sposobów przywiązania do siebie mężczyzny, że na system dekoltażowy patrzy z prawdziwym lekceważeniem...

I mężczyźni są obecnie inni, w towarzystwie kobiet poszukują już nie tylko podnieć zmysłowych, lecz i zalet intelektualnych. Za towarzyszkę życia wybierają sobie nietylko samice o pięknych kształtach, lecz osobę o poziomie umysłowym możebnie najwyższym, któraby była dla nich najserdeczniejszym przyjacielem i powiernikiem. Te zaś nigdy nadmiernie dekoltować się nie będą, lecz z innych względów, niż utrzymuje autorka feljetoniku...

Na szczęście jednak liczba pań dekolujących się w sposób, stępujący do cna wrażliwość mężczyzn, jest u nas nieznaczna.

Dziwią tylko podobne średniowieczne poglądy w piśmie, będącem, jak dotąd, rzecznikiem racjonalnego i rozumnego postępu wśród kobiet.



Grupa żyraf, których wysokie szyje psują linię telegraficzną w Ugandzie



Ostatnie modele kapeluszy wiosennych



Ostatnie angielskie modele sukien wiosennych i letnich

NASZE ZAKŁADY OGRODNICZE

Opisując Ogród Botaniczny Warszawski nie wolno pominąć milczeniem jednej z najstarszych firm ogrodniczych nie tylko w Warszawie, ale i w kraju całym. Znana dobrze wszystkim i wlece zasłużona firma „C. Ulrich” w roku bieżącym obchodzi jubileusz 120 lat istnienia, przyczem od samego początku wysoko dzierżyła sztandar sztuki ogrodniczej. Wystarczy przejrzeć wydaną z racji stuletniego jubileuszu firmy monografię Józefa Drège, wystarczy przeczytać zawarte w niej opinie najwybitniejszych botaników polskich. I obecnie firma „C. Ulrich”, pozostając pod sprężystym i umiejętnym kierownictwem inż. A. Machlejda w dziale ogrodnictwa krajowego zajmuje przodujące stanowisko. Rozszerza też stale tereny swej działalności, dążąc do stworzenia wzorowego zakładu ogrodniczego, dorównującego największym podobnym zakładom zagranicznym. Specjalności firmy: nasiona, drzewka i narzędzia ogrodnicze, a magazyny jej stale są zapatrzone w olbrzymi wybór nowości, mogących zaspokoić najwybredniejsze nawet gusta.

MAŁA RÓŻNICA.

Co?... ty, mająca lat osiemnaście, chcesz poślubić tego 60-letniego starca i spędzić z nim całe swoje życie?
Nie, tylko całe jego życie..

METAMORFOZA.

Profesor A.: Co się stało właściwie z tym studentem Iks, który w zeszłym roku pracował u kolegi?.

Profesor B. (chemik): Nieborak! Dzielny chłopak! Gdyby tylko nie był taki lekkomyślny przy doświadczeniach chemicznych! Spójrzycie, kolego, na sufit... widzicie tę plamkę?... To on!

W MAGAZYNIE MEBLI.

— Mam tu dwa bardzo piękne krzesła: oto Ludwik XIV kosztuje 200 złotych, a tutaj Ludwik XVI za 300 złotych.

Nowobogacki Czy nie znalazłbyś pan Ludwika XV? Nie chcę wydać więcej, niż 250 zł.

DROBNA PRZYSŁUGA.

— Narzeczona przynosi ci kawał grosza? co?

— Ba! Gdybym ja to wiedział napewno!... Słuchaj, nie ożeniłbyś się ty, tak na próbę, z jej siostrą.

DUMA MACIERZYŃSKA.

Bankierowa Iks.: A więc syn pani został konsulem..

Bankierowa Zet, przerywając: Jaktó konsulem? Napoleon był konsulem, a mój syn jest konsulem generalnym.

Z NEKROLOGJI.

„Inżynier Iks, zmarł, przeżywszy lat 50. Podczas pamiętnej powodzi w miasteczku Zet wprawną ręką i z wielką odwagą kierował katastrofą“.

UCZCIWY.

— Henryku, ty mnie już nie kochasz: nigdy już nie nawiesz mnie żadnym z tych słodkich imion, jakimi mnie dawniej obsypywałeś..

— Ależ, Helenko, przeciwnie: kocham cię więcej jeszcze, tak bardzo, że nie chcę cię okłamywać.

SROGA KARA.

— Panie Iks, czy kradzież pocałunku bywa karana?

Iks spoglądając na żonę i siedmioro dzieci:

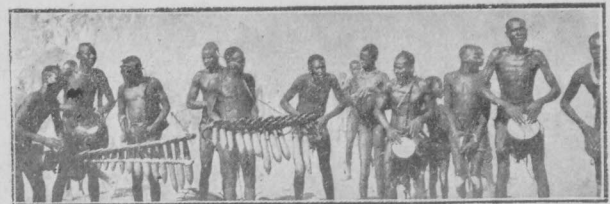
— O, naturalnie! Raz w życiu tylko skradłem pocałunek i zostałem za to skazany na dożywotnie roboty przymusowe.

W SKLEPIKU.

— Mama prosi o drobne za 5 złotych.

— Dobrze moje dziecko. A gdzie 5 złotych?

— Mama przyśle je w przyszłym tygodniu.



Oryginalny murzyński jazz-band z południowej Afryki

Kierownik literacki: **Edmund Jeziński.**

Redaktor i wydawca: **Tadeusz Jaszczewski.**

Kierownik literacki przyjmuje codziennie od godz 5—6 po poł, w lokalu redakcji, Nowy-Świat 50.

„NOWA ZIEMIA LUBELSKA”

to najpoczytniejsze pismo demokratyczne Województwa Lubelskiego i Kresów Wschodnich. Założone w roku 1904 jako „Ziemia Lubelska” w roku 1923 zamieniono tytuł na „Nowa Ziemia Lubelska”. Codzienne pismo nasze posiada oddziały we wszystkich większych miastach Europy. Zaangażowało do swej współpracy wybitne siły publicystyczne.

Abonament roczny z przesyłką pocztową wynosi 38 zł., półrocznie 19 zł., miesięcznie 3.30 zł.

„Express Kujawski”

wychodzi codziennie w Włocławku
ulica **Przedmiejska** № 20, telef. № 100.

Najpoczytniejszy organ na Kujawach i Ziemiach Sąsiednich

O g ł o s z e n i a

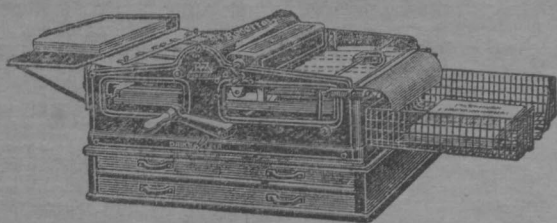
w „Expressie Kujawskim” dzięki rozpowszechnieniu pisma we wszystkich sferach, dają wielkie korzyści, ogłaszającym się na jego szpaltach.

URZĘDY — INSTYTUCJE — BANKI
!!!OSZCZĘDZAJCIE!!!

AMORTYZACJA do 3-ch MIESIĘCY
PRZEDSTAWICIELSTWA:

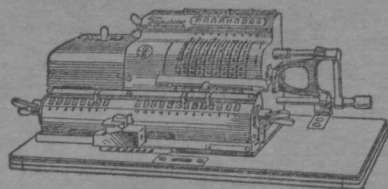
NA

DRUKARKI BIUROWE
ROEDERTAL



ARYTMOMETRY

TRIUMPHATOR



MASZYNY DO LICZENIA „MADAS“

SZWAJCARSKIEJ FABR. RĘCZNE i ELEKTRYCZNE

KASY PANCERNE i OGNIOTRWALE BUDOWA SKARBCÓW

FABRYKI. BERNARD POLSKI w POZNANIU

POLSKI PRZEMYSŁ BIUROWY Sp. z o. o.

Warszawa == Marszałkowska 66 == Telefon 60-36

Amerykańskie (PABJANICKIE) Meble Biurowe

poleca

W. Kwiatkowski

wielki wybór

wytwornego obuwia

Nowy-Świat 30

na wiosenny sezon

ZAKŁADY OGRODNICZE

C. ULRICH

ZAŁOŻ. 1805 R. W WARSZAWIE, S. A.

Centrala — Ceglana 11, tel. 9-25, 209-25

N A S I O N A

warzywne,
kwiatowe,
pastewne,
rolne

D R Z E W K A

i Krzewy
owocowe
i ozdobne

ROŚLINY i KWIATY CIĘTE

NARZĘDZIA OGRODNICZE

Cenniki, katalogi i oferty

na żądanie.

ZAKŁAD POMOLOGICZNY

A. GIRDWOYNIA

W O Ł T A R Z E W I E

Szkółki Drzew i Krzewów

Owocowych i Ozdobnych

BIURO: WARSZAWA, EMILJI PLATER 35

TELEFON 30-10.

POLECA NA SEZON WIOSENNY
DRZEWA OWOCOWE. SPECJAL-
NOŚĆ: ŚLIWY i MORELE NA POD-
KŁADCE „AŁYCZA“, oraz GRUSZE
DWA RAZY USZLACHETNIONE,
O PNIACH NIEPRZEMARZAJĄCYCH.

Katalog i cennik na żądanie.

Najlepsze źródła zakupów polecane przez „Biesiadę Literacką“

Wł. Wolański

„G W I A Z D A“

Warszawa, Krucza Nr. 18, tel. 271-24.

Chcecie mieć dobrą taną maszynę, która może być za-
stosowana jak do szycia t.k i do maszynowego haftu?

Zgłóście się do naszej firmy.

Hurt i detal.

Długoletnia gwarancja.

Ceny najniższe. Gotówką i ratami.

„PARLOPHONY“

Doskonale nadające się do tańca wraz z wielkim wyborem
płyt tanecznych i operowych poleca

M. LEWIN

Warszawa, ul. Senatorska 22.

P. S. Wszelkie instrumenty muzyczne po cenach nader przystępnych
stale na składzie.

Reperacja i korekta instrumentów.

B. Kulesza

Warszawa, N-Świat 59. Tel. 409-43.

Maszyny do szycia najprzedniejszych ga-
tunków ręczne od Zł.
100.—, nożne Zł. 135.—, bębnekowe Zł. 165.—, gabinetowe
Zł. 205.— z długoletnią gwarancją, wysyła po otrzymaniu 1/4
części należności. HURT i DETAL.

OBUWIE NA RATY

Trwałe

Eleganckie

Tanio

„B O N - T O N“

Marszałkowska № 34 w podwórzu

CENY OGŁOSZEŃ

STRONA	1/1	1/2	1/4	1/8	1/16
II i III okładki	360.—	180.—	90.—	45.—	25.—
IV okładka	380.—	190.—	95.—	50.—	30.—
za tekstem	250.—	130.—	70.—	35.—	20.—
opisowa	350.—	180.—			

Fotografia i klisze na rach. klienta.

Za wiersz wysokości 1 milimetra szerokości 1 szpalty; Kron.
Towarz. i Komunikaty za 1 m/m 65 gr. Pierwsza strona tekst za
1 m/m 3 zł. Za terminowy druk ogłoszeń Admin. nie odpowiada.

PRENUMERATĘ PRZYJMUJĄ:

w Warszawie: Nowy-Świat 50 m. 4a tel. 291-60, konto czeko-
we w P. K. O. № 7494.

w Poznaniu: Górna Wilda 29.

w Lwowie: Jagiellońska 7, tel. 305.

w Katowicach: Plebiscytowa 2, 1-sze piętro.

w Łodzi: Piotrkowska 85 i Ks. „Czytaj“ Narutowicza 2.

w Białymstoku: Sosnowa 61.

Prenumerata: rocznie 45 zł. półrocznie 23 zł., kwartalnie 12 zł.
zaganicą podwójnie.